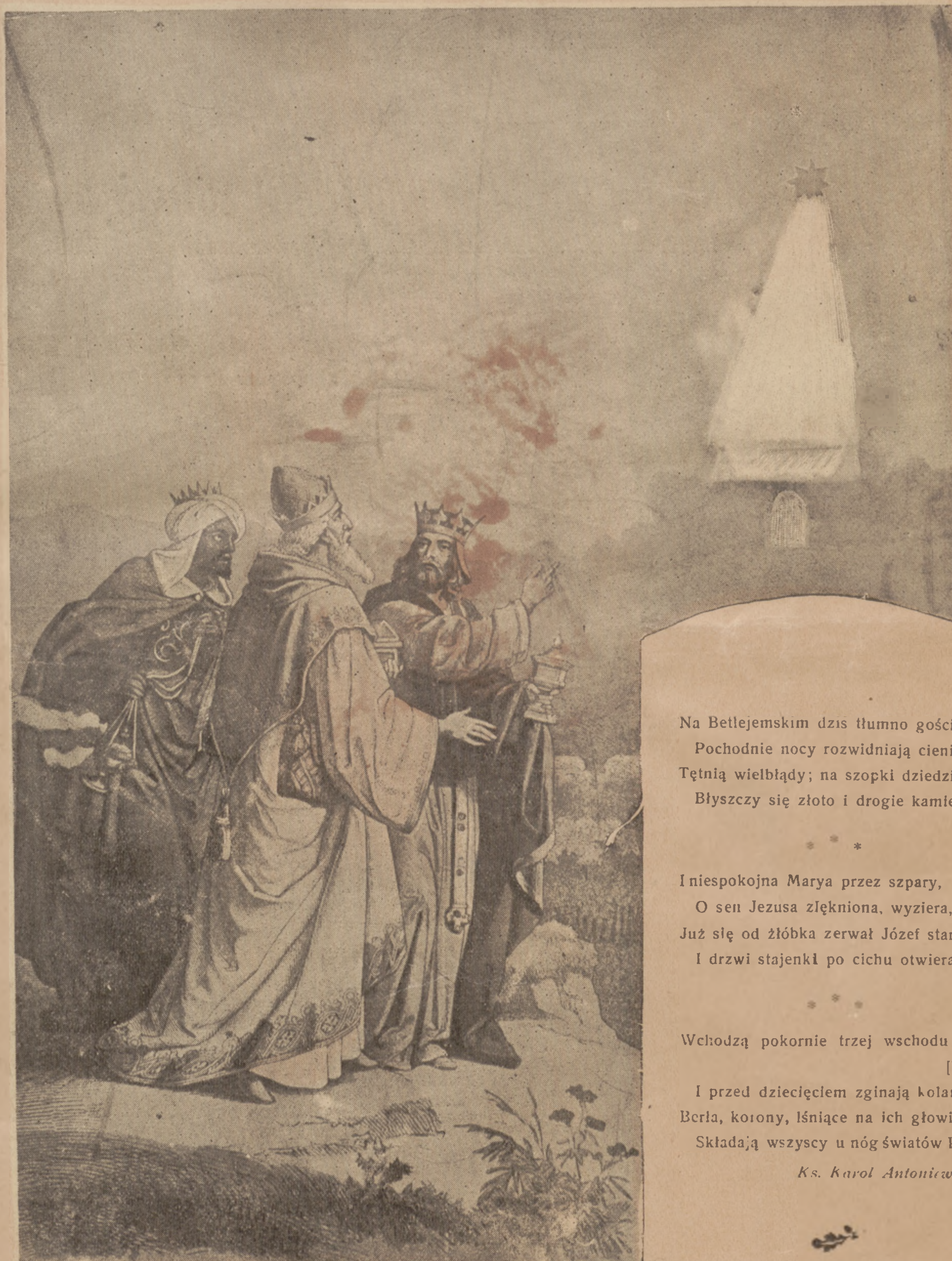


Na Betlejemskim dziś tłumno gościńcu:
Pochodnie nocy rozwidniają cienie;
Tętnią wielbłądy; na szopki dziedzińcu
Błyszczy się złoto i drogie kamienie.

* * *

I niespokojna Marya przez szpary,
O sen Jezusa zlękniona, wyziera,
Już się od żłóbka zerwał Józef stary
I drzwi stajenki po cichu otwiera.

* * *

Wchodzą pokornie trzej wschodu kró-
[lowie
I przed dziecięciem zginają kolana,
Berła, korony, lśniące na ich głowie,
Składają wszyscy u nóg światów Pana.

Ks. Karol Antoniewicz.

 DRUKIEM „PRACY."

Nr. 1. Poznań, Niedziela dnia 4 Stycznia 1903. Rok

PRACA

Dosiego Roku!

„Umarł król — niech żyje król!“

Przy dźwiękach dzwonów skonał rok stary, duch jego rozwiewa się w tumanie przeszłości, wspomnienie przygasa w zarannem słońcu nowego roku. Skonał a żal nasz nie poszedł za nim, bo rok ten nie zbliżył nas, pogrążonych w pomroku niewoli, widocznie do jutrzenki gorąco uprawianej ery narodowej, lecz zaznaczył się szeregiem ciosów i pozwolił nadal tryumfować przemocy nad sprawiedliwością.

Poświęcamy zmarłemu rokowi wspomnienie pośmiertne poniżej i witamy nowego króla, nowy okres czasu, do nowej daty nowe przywięzując życzenia.

„Wszystko płynie“ — powiedział filozof. Płyną dni, miesiące, lata, płynie wszechświat w ogromnej, nieustannej ewolucyi wszechrzeczy, w naszych oczach jedno w proch się wali, drugie budzi do życia, rozwija się, zakwita, schnie, przymiera, ustępując miejsca młodej latorośli. I my płyniemy w przyszłość.

Niechaj więc smutki wczorajsze czoła nam nie chmurzą, lecz myśl strzela śmiało w przyszłość! Idźmy naprzód z żywymi, płyńmy z rozwianemi skrzydłami wsparci na sterze doświadczeń, ufni w siłę naszych ramion, w wielkość naszej sprawy i sprawiedliwość Boską, pewni, że póki my żyjemy i duch polski żyje, jeszcze nie wybiła godzina zagłady naszej i — nie wybije nigdy.

Jeźli dotąd nie zginęliśmy, jeźli pod kamieniem niewoli rośnie trawa i kiełkuje życie, — to nie zginiemy.

W tym sensie życzymy ludziom dobrej woli:

Dosiego roku!

A przedewszystkiem do Was, drodzy Czytelnicy, z którymi łączył „Pracę“, zawsze węzeł przyjazny i serdeczny, stosujemy ten okrzyk, z tem życzeniem, abyście i nadal nie poskąpili nam poparcia i życzliwości i aby ziarno poczucia narodowego i braterskości pod znakiem krzyża, rozsiewane przez „Pracę“, wydawało plon wspaniały w sercach coraz liczniejszych zastępów rodaków — na dobro i chwałę naszej Matki-męczennicy.

Bracia rodacy! Serdeczny uścisk dłoni, serdeczne życzenia

Dosiego roku!

Szczęść Boże!

przesyła wam

Wydawca i redakcya „Pracy“.

Na nowy rok.

I oto szczęśliwie przeżyliśmy znów rok jeden i wstąpiliśmy w progi nowego...

Szczęśliwie — jakże dziwnie brzmi to słowo w uszach naszych! Piękne to „*szczęście*“, gdy pod ciężarem spadających na nas ciosów ledwie oddychać możemy, gdy każdy niemal dzień ubiegłego roku przynosił nam nowy ból, nowe rany, nowe łzy — gdy i rok nowy nie zapowiada się lepiej. Rozpacz — nie szczęście, zawoła niejeden z czytelników naszych. I na pozór miałby słuszność. To bowiem, cośmy przeżyli w minionym roku, wystarczałoby, aby każdemu narodowi zatruć życie, zniechęcić do wszystkiego, zmrozić krew w żyłach. System pruski nie zwolniał ani o drobnostkę, przeciwnie jeszcze się zaostrzył. Dziatwa nasza cierpiała tak samo, jak w roku poprzednim; jeźli zaś nie mi[eliśmy] nowej *Wrześni*, to zawdzięczamy to tylko bezbrzeżnej naszej cierpliwości, a nie „ojcowskiemu“ rządowi pruskiemu. Towarzystwa nasze tak samo, jak dawniej, borykały się z zbyt czułą „opieką“ władz pruskich; handel i przemysł straszną staczał walkę z bojkotem i wszelkiemi innemi przeciwnościami, rolnictwo nasze ledwie koniec z końcem związało, a znów ubyło nam kilka pięknych

...szych. Wrogowie nasi nie władają już tylko pokusie, jaką samo złoto wywiera, lecz posługują się także podstępem i zdradą, ku czemu, pożal się Boże, znaleźli znów kilku „pośredników“ polskiego pochodzenia. Wszyscyśmy więc pędzili żywot nasz w trosce o jutro, w kłopotach i umartwieniu, w smutku i boleści — a tego chyba szczęściem nazwać nie można...

A jednak — my nie cofamy tego słowa, jednak twierdzimy, żeśmy *szczęśliwie* przeżyli rok stary i *szczęśliwie* wstępujemy w nowy. Bo chociaż u nas nic się nie zmieniło na lepsze, chociaż i dla braci z za kordonu rok ten był rokiem nowych zawodów i rozczarowań, chociaż i Galicyą ta sama co dawniej trapi bieda, chociaż wszystkim nam duszno, ciężko i smutnie, to jednak *żyjemy*, żyjemy tak samo *zdrowo i silnie* jak przed rokiem i jakoś nie mamy się jeszcze ku rychłej śmierci....

Było złego aż nadto, to prawda, aleć czyż to już nie nasz chleb powszedni, od lat pięćdziesięciu, stu i więcej? Czyśmy już nie przywykli do tego tak, że na razie życia bez tego złego prawie że nie pojmujemy? Mówią, że do wszystkiego człek przyzwyczaić się może; wielki nasz Sienkiewicz powiedział zaś o chłopie polskim, że ma on naturę tak silną, iż *można go zgiąć, złamać we dwoje, on znów się wyprostuje i jak dąb silny stanie wobec nowego nieszczęścia.* I zdaje się oto, że tę naturę chłopa naszego przyswoił sobie cały nasz ogół. Gną nas, gnębią, łamią, a my, chociaż na chwilę przykucniemy, znów silnie wyprężamy się w górę, znów podnosimy głowę naszą i wołamy: A co? *wszakże jeszcze żyjemy!*

I dziwi się świat cały, dziwią zwłaszcza Niemcy tej wspaniałej naszej żywotności. Nawet jeden z najzjadliwszych wrogów naszych wystawił nam to chlubne świadectwo, że aby nas pokonać, na to potrzeba zupełnie innych wysiłków, [illegible]sowe wrogów naszych, że potrzeba *miliardów i Bóg wie czego jeszcze....*

Przywykliśmy do złego, i to nas podtrzymuje. Zresztą, prawdą a Bogiem, tak strasznie źle znów rok ubiegły nie zapisał się w pamięci naszej. Przetrwaliśmy pewną głośną *mowę*, przetrwaliśmy pewną wizytę w Poznaniu, i rzecz dziwna, po jednej i drugiej, chociaż wręcz przeciwnie stać się miało, nasze twarze były *weselsze* niż twarze najserdeczniejszych naszych. Myśmy się *śmiali*, a oni coraz bardziej marszczyli czoła. Dziatwa nasza przytem bynajmniej nie tonie w morzu niemieckiem. Cierpi, jęczy, zalewa się łzami, lecz tem głośniej woła w domu zamiast „Vater unser“ „*Ojcze nasz.*“ Znów też dużo rodziców pod obuchem niedoli szkolnej przyszło do świadomości, że obrona dziatwy przed wynarodowieniem to *najświętszy ich obowiązek.* A gdy rodzice to czują, to już szkoła niemiecka celu swego nie dopnie, choćby głośniej jeszcze w niej rozlegał się świst trzciny. I straty nasze w ziemi całe prawie powetowaliśmy. W kilku wypadkach wprawdzie powiodło się zdrajcom skurczyć ojczyznę naszą — za to i my wydobyliśmy kilka obszernych spłazin z rąk obcych. Zwłaszcza *Jawi Wielkich* Niemcy nie zapomną tak rychło, ani Bławat, ani Wielkiego. Lud nasz mimo ciężkiej niedoli jednak się dorabia — a i przemysł i handel snać nie tracą fantazyi, jeśli myślą o urządzeniu wystawy polskiej w roku przyszłym. Wszystko więc wiedzie się nam jeszcze tako jako, a chociaż hakata na samą gwiazdkę znów obmyśliła dla nas sporą porcyą specyałów — to i tego się nie przeraziliśmy. Grunt, że żyjemy, że nie pozwalamy się zjeść w kaszy, a to przecież w położeniu jak nasze — *szczęście prawdziwe*, i kto wie, czy jakikolwiek naród na naszem miejscu tem zdołał-by się poszczycić! *Zatem w górę serca!* Zanosi się na to, że w roku przyszłym więcej nas będzie, czy to przy *wyborach*, czy też w *sejmach berlińskich.* Bo oto *Śląsk się rusza.* Jaki tam rezultat wyda ta *pierwsza* próba, któż to przewidzieć może; tak źle jednakże zapewne się nie skończy, żebyśmy stracili ochotę... do *drugiej.* Na razie możemy być *ciekawi* tego, a i to rzecz ważna. Dopóki jeszcze ktoś spodziewa się czegoś dobrego, nie myśli o śmierci. Nie brakło między nami i *rozterek pewnych,* chwilami nawet dość ostro przyskakiwaliśmy sobie do oczu, a z tem przejdziemy pewnie i w rok nowy; lecz i w tem *nic złego.* Dowodzi to tylko, że coraz szersze koła biorą się u nas dziś do czynu, do pracy, że dokonuje się u nas ewolucya *z dołu ku górze;* taka zaś ewolucya zawsze kończy się *pomyślnie*, mimo wstrząśnień, jakie wywołuje.

Tak tedy jasnem jest, że *szczęśliwie* dobiegliśmy końca roku starego i wkroczyliśmy w rok nowy. Jaki on będzie, po co nam wiedzieć? Bądźmy przygotowani na to, że będzie *gorszym* od poprzedniego i... *zastosujmy się do tego!* Omylimy się w tym względzie, tem lepiej, nie omylimy się — to przynajmniej tak samo szczęśliwie go przetrwamy, jak ubiegły. Miejmy tylko wszyscy tę naturę *chłopa polskiego*, który się nigdy „nie da złemu ni nieszczęściu.“ Barki nasze, dzięki Bogu, coraz silniejsze, rozrosły się już tak, że od *Bałtyku sięgają do Mysłowic*; dużo więc zniosą, zwłaszcza gdy *nogami i rękami oprzemy się jeszcze silniej o resztę narodu a nawet o Słowiańszczyznę.* Wówczas konia z rzędem temu, kto nas zegnie zupełnie. *Hartu, hartu i jeszcze raz hartu, hartu ducha i ciała, a wrogowie do reszty wykruszą sobie zęby!* —

Nie dać się! To największa na razie *mądrość nasza.* My nie zależymy od niczyjej łaski, jeno od *woli Bożej.* Gdy więc przy takim *sprzymierzeńcu* sami sił dołożymy — minie i rok nowy, choćby był jaknajcięższy, a my dalej żyć będziemy *i drwić ze złości ludzkiej!*

A więc tej *największej mądrości* życzymy na rok przyszły Czytelnikom naszym! — *Nie dać się!* Wszystko inne się znajdzie....

Redakcya.

Radźmy zawczasu!

Sprawa rozdwojenia w naszem Kole parlamentarnem przy głosowaniu nad nową taryfą celną nie wywołała obszerniejszej dyskusyi w naszej prasie. Ograniczyła się ona iedynie na kilku luźnych artykułach i listach poselskich, poczem nagle się urwała. Stało się tak zapewne z tego powodu, że sprawa ta przypadła niemal na sam czas „gwiazdkowy,“ na dni Bożego Narodzenia, w których to nawet najzapalczywsze umysły i serca ulegają błogiemu tchnieniu miłości i pojednawczości, wiejącemu z tej wielkiej rocznicy. Kwestya zresztą, czy mniejszość Koła, która głosowała za cłami, postąpiła legalnie, a większość, która wstrzymała się od głosowania, nielegalnie lub chociażby tylko nieprawidłowo, — albo przeciwnie — nie nadaje się jeszcze do dyskusyi w prasie, gdyż będzie przedmiotem rozpraw w Kole samem — wskutek protestu, założonego przez posła Głębockiego. Koło samo więc najpierw ją rozstrzygnąć musi, potem dopiero przyjdzie czas na krytykę prasy. Dokładne jej omówienie i wyjaśnienie uważamy bądź jak bądź za potrzebne, ponieważ wywoła ona dużo kwasów nietylko w samem Kole, ale także w społeczeństwie. I z tej już przyczyny zalecałoby się, ażeby Koło w tej przynajmniej sprawie odstąpiło od poufności obrad swoich *i albo dopuściło na posiedzenie, na którem protest posła Głębockiego przyjdzie pod obrady, sprawozdawców prasy polskiej, albo też samo ogłosiło sprawozdanie z tych obrad.*

Kwestya to bowiem bardzo ważna dla całego naszego społeczeństwa w zaborze pruskim. Nie chodzi tu już tylko o formalną statutową stronę postąpienia jednego lub drugiego obozu w Kole, lecz także o sprawę *solidarności* Koła, która znacznego doznała wstrząśnienia. Wiąże się z tem zresztą jeszcze kilka innych nie mniej ważnych kwestyi, z których jednę poruszyliśmy już w poprzednim numerze pisma naszego a mianowicie, *który wzgląd powinien być miarodajnym w naszych ekonomicznych i społecznych sprawach, czy wzgląd na jedną gałąź produkcyi t. j. rolnictwo, czy też wzgląd na szeroką masę społeczeństwa, na ludność robotniczą?*

Co się tyczy solidarności Koła polskiego, to raz jeszcze wskazujemy na to, że nie byłoby przyszło do tej godnej ubolewania rozterki w Kole, gdyby propozycya posła Chrzanowskiego była znalazła poklask ogólny i praktyczne zastósowanie. *Naszem też zdaniem sprawę solidarności raz jeszcze wyczerpująco poddać winniśmy publicznej rewizyi.* Za niemniej potrzebne a nawet konieczne uważamy zaś dokładne omówienie i wyjaśnienie drugiej owej kwestyi, wskazanej powyżej, kwestyi *miarodajnych dla nas względów.*

Przedewszystkiem raz wreszcie powinniśmy wyrwać się z ciasnego koła pojmowania istoty i granic społeczeństwa naszego, w którem trwamy dotychczas. Musimy uprzytomnić sobie, że *społeczeństwem polskiem* w zaborze pruskim nie jest wyłącznie ludność *Księstwa i Prus Zachodnich,* lecz cały *ogół polski,* a więc także owa krociowa rzesza naszych robotników na *obczyźnie,* w głębi Niemiec no i milionowa rzesza polskich Ślązaków, że i te dwa odłamy mają prawo do radzenia, głosowania i decydowania w naszych wspólnych sprawach publicznych. Wiemy już przecie dzisiaj, jak ważnym ekonomiczno-społecznym czynnikiem jest dla nas to czasowe wychództwo nasze na zachód, widzimy jak dzielnie się tam trzyma i broni zarówno przed wynarodowieniem jak i przed sidłami międzynarodowej socyalnej demokracyi. Czynnik to tak poważny, że nie wolno nam go lekceważyć, nie wolno go odsuwać od wspólnej rady, wspólnego życia. Co zaś do Slązka, to wystarcza wskazać jedynie na liczebną potęgę jego polskiej ludności, aby przyznać mu pierwszorzędne znaczenie dla całego naszego życia politycznego i społeczno-ekonomicznego. Nie pojmujemy też tych naszych „powag“, które ostateczne zupełne zlanie się Slązka z resztą społeczenstwa naszego radeby jeszcze oddalić, odroczyć, które się zlania tego formalnie obawiają. Ślązk *musi* się złączyć z nami pod każdym względem, jeźli nam chodzi o wzmocnienie naszej pozycyi wobec niemczyzny i prusactwa; *im rychlej więc nastąpi, tem lepiej dla nas i naszej narodowej sprawy.*

Gdy zaś to nastąpi, gdy wogóle ewentualność tę weźmiemy w rachubę, inaczej niż dzisiaj przedstawiać się nam będzie charakter oraz istota naszego *społeczeństwa.* Będzie ono wówczas naprawdę *ludowem.* I wówczas to nikt nie będzie mógł twierdzić, że rolnictwo jest główną podstawą naszego bytu, że przeto jego interes musi górować nad wszelkiemi innemi. Być może, że tego właśnie obawiają się nasze „powagi“ — być może, że ziemiaństwu naszemu nie będzie ... rękę, ale trudno; tu chodzi o przyszłość naszą, i tylko troska o tę przyszłość decydować winna o wszystkiem.

Nie zamykajmy oczu na to, co się w koło nas dzieje. Znajdujemy się ... dziś w przededniu wielkiej narodowo-społecznej ewolucyi, wobec której wszelkie poprzednie były tylko drobiazgowemi. Ramy społeczeństwa naszego rozszerzają się ogromnie, zmienia się jego ustrój wewnętrzny, więc czas najwyższy zmienić także poglądy i hasła, które nie zgadzają się z tą ewolucyą. Dla starszej generacyi będzie to zapewne przykre i bolesne nawet, ale z tem liczyć się nie wolno, gdyż chodzi tu o rzecz ważniejszą niż *uczucia,* bo o byt społeczeństwa.

I właśnie sprawa nowej taryfy celnej miała to dobre w sobie, że ważną, bodaj zaś czy nie najważniejszą tę dla nas kwestyą „nacięła“ i roztrzygnięcie jej przyspieszyła. Nie chodzi już dziś o same cła zbożowe, lecz o *ukształtowanie całej naszej wewnętrznej polityki narodowo-społeczno-ekonomicznej na przyszłość* i z tego też „punktu widzenia“ należy traktować wszystkie inne kwestye, jak np. kwestyą solidarności k... poselskich, kwestye statutów kół, kandydatów na posłów itd. itd.

Dlatego też pragniemy, ażeby dyskusya o tych sprawach i kwestyach nie przycichała, lecz bezustannie toczyła się dalej, aż do zupełnego ich wyklarowania. To zaś nastąpić powinno koniecznie jeszcze *przed wyborami tegorocznemi.* Spory bowiem i kłótnie w ostatniej chwili, w czasie wyborów, nieobliczalne wyrządzić nam mogą szkody. Korzystajmy teraz z miesięcy zimowych, w których mianowicie nasza ludność wiejska ma więcej czasu do zajmowania się sprawami politycznemi. Niechże więc wyborcy wszędzie, w każdym okręgu domagają się od komitetów wyborczych rychłego zwołania *zebrań i wieców przedwyborczych.* Niechże światlejsi poruszą na nich wszystkie powyżej wymienione kwestye, prasa zaś nasza, zwłaszcza ludowa niech je wytrwale roztrząsa, aby szerokie koła przekonały się o ich ważności. Chociaż tu i owdzie przyjdzie z tego powodu do kłótni — nic to. Bez ścierania się zdań prawda nie wypłynie na wierzch. Lepsze zaś kłótnie teraz niż podczas wyborów. Przedewszystkiem zaś zalecamy otwarte omawianie na wiecach sprawy *zupełnego odzyskania Śląska.* Jest to w pierwszym rzędzie naturalnie sprawa braci naszych na Śląsku. Ale gdy oni do nas wyciągają ręce, nam nie wolno trzymać naszych w kieszeni i udawać, że nie

...y cnoty podać ich nawzajem tym ...aciom naszym. Już głosowanie części Koła polskiego za cłami złe sprawiło wrażenie na Śląsku, a przeciwnikom ostatecznego zlania się ludu tamtejszego z resztą społeczeństwa dało nową broń ...o ręki. A cóż dopiero powiedzieć o ...tykule pewnego posła w jednym z wielkich organów naszych, w którym to czytaliśmy, że Koło polskie dla tych „kilku“ Ślązaków statutu swego nie zmieni, że może ich ewentualnie przyjąć jedynie jako hospitantów bez równych praw!! I dziwić się w obec tego, że „Katolik“ śląski wmawia dziś w czytelników swoich, iż *niemieckie* centrum jest dla nich lepsze, niż *polskie Koło* poselskie? To zbrodnia wobec narodowości i przyszłości naszej, to zbrodnia, na którą my tu spokojnie patrzeć nie możemy. Musimy więc jasno wypowiedzieć zdanie nasze zawczasu, musimy uprościć drogę dokonującej się ogromnej ewolucyi, bo inaczej — *źle będzie z nami.*

Narodowiec.

Utopia polityczna.

Umysły wybujałe, uskrzydlone fantazyą, zajmując się polityką, muszą chwilami nużyć się chłodnem rozumowaniem i ściśle logicznem, racyonalnem kombinowaniem. Wyrywają się przeto ... sfery polityki lub wprowadzają w nią pierwiastek poetycki, na kanwie rzeczywistości wyszywając kwiaty fantazyi.

Taki kwiat dał pan *J. Kościelski* z Miłosławia, który jest zanadto artystą, by być idealnym politykiem. Cenimy wysoko jego niepospolite zalety umysłu oraz jego zasługi obywatelskie, lecz nie zawsze możemy przyklasnąć jego polityce.

„Kraj“ petersburski ogłosił w ostatnim numerze interwiew z panem Kościelskim — „arcyciekawy,“ „sensacyjny.“

P. Kościelski rzucił w nim projekt, aby... *Polacy* wybierali do sejmu pruskiego *Niemców-socyalistów* dla postrachu hakaty i rządu, sobie zachowując tylko kilka mandatów.

Co za tem przemawia?

W parlamencie zasiada 58 socyalistów — rozumuje p. Kościelski — którzy stanowią tam istny bicz Boży dla stronnictw rządowych. Tymczasem w sejmie nie ma ani jednego i nie może być, tak iż pruscy junkrowie dokazują tam sobie, nie czując owego „bicza.“ Na słowa polskich posłów sejm jest głuchym, dla nas wygasły tam uczucia ludzkie, więc nie mogąc nic wskórać poślijmy do sejmu „bat w postaci socyalistów.“ Socyaliści zgodzą się chętnie, a my powiemy naszym wyborcom: tym razem wyjątkowo głosujcie na socyalistów, nie dlatego, by ich przekonania były waszemi przekonaniami, ale dlatego, by pokazać rządowi pazury. Socyaliści będą w sejmie „lekarstwem na szowinizm.“

„Czy lekarstwo to nie obróciłoby się przeciwko samej społeczności wielkopolskiej? — zagadnął współpracownik „Kraju“,“ na co p. K. odrzekł, że w naszem, wysoko uświadomionem i politycznie dojrzałem społeczeństwie eksperyment taki byłby możliwym.

Otóż projekt pana Kościelskiego — „możliwy“ o tyle o ile wszystko na świecie jest możliwem, ale tak daleki od urzeczywistnienia jak ziemia od księżyca.

Pominąwszy już to, że — jak podnosi „Dzien. Pozn.“ — projekt ten jest niezgodnym z naszym regulaminem wyborczym i ustawami Koła, nie wytrzymuje on krytyki, w świetle racyonalizmu wydaje się awanturniczą — jak sam p. K. powiedział — utopią polityczną.

Nie ulega wątpliwości, że wprowadzenie kilku Beblów i Singerów do sejmu byłoby bardzo nie na rękę rządowcom w sejmie i mówcy nieustraszeni tego pokroju zgotowaliby junkrom wiele niemiłych chwil, lecz czyliż mowy ich chociaż najświetniejsze odniosłyby jakikolwiek praktyczny skutek? Czy działalność ich w sejmie byłaby „lekarstwem na szowinizm?“

Bynajmniej. Kilka głosów socyalistów i Polaków równałoby się zeru, a ponieważ 58 socyalistów nie jest lekarstwem na szowinizm w parlamencie, nie byłoby niem także kilku socyalistów w sejmie. Jeźli w parlamencie ów szowinizm uwydatnia się mniej jaskrawie niż w izbie deputowanych, nie tłomaczymy sobie tego wpływem socyalnych demokratów, lecz składem izby. Szowinizm hakatystyczny musi przejść swe stadya jako gorączka i umrze naturalną śmiercią. Socyaliści nie potrafili go zabić i nie potrafią. Przeciwnie, swem gromkiem, agresywnem postępowaniem rozpalają umysły, wywołują reakcyą, rozniecają contr-szowinizm.

A więc cel eksperymentu byłby chybionym. Zyskalibyśmy tylko drogim kosztem *przyjemność*, jaką sprawiałby nam widok junkrów sejmowych wijących się pod chłostą Beblów, ale pazury nasze niezaimponowałyby hakacie z tej prostej przyczyny, że nie byłyby naszemi pazurami, lecz socyalistów. Czy dla tej satysfakcyi warto byłoby robić taki karkołomny eksperyment?

Nie tylko nie zaimponowaliśmy Niemcom, ale wprost pognębili się w ich pojęciu, wystawili sobie sami w oczach własnych i innych *testimonium paupertatis* — świadectwo ubóstwa, niemocy, upadku ducha.

Projekt pana Kościelskiego jest *najsurowszą krytyką Koła polskiego*; przyznaje bowiem wyższość szermierzom socyalistycznym nad polskimi posłami. Tkwi w nim brak wiary w swadę, odwagę i zdolności naszych posłów. Niemcy przeto, którzy dziś są nieczuli na słowa naszych posłów sejmowych, z tem większem lekceważeniem przyjmowaliby ich wywody i, wzruszając ramionami, rzuciliby im w oczy prawdę, iż sami nieudolni musieli poszukać sobie najmitów.

Nie potrzeba nadmieniać, że Koło polskie nie zgodziłoby się na smutną rolę satelitów kilku niemieckich socyalistów, którzy oczywiście przy polskim ogniu piekliby własną pieczeń tak w w sejmie jak w okręgach wyborczych.

Kazać polskim wyborcom głosować na niemieckich socyalistów to znaczy wpuścić wilków do owczarni. Projekt taki spowodowałby ogromne zamieszanie pojęć w kołach wyborczych i ostatecznie napotkał tam na stanowcze veto, bo od socyalizmu dzieli szerokie masy naszego ogółu mur chiński. Myśl ta tem mniej znalazłaby tam uznania, że Koło polskie trzymało się zawsze jaknajdalej od grupy socyalistów w parlamencie, manifestując swą rdzenną odrębność. Więc na podobny eksperyment społeczeństwo nasze nie jest nawet przygotowanem. Przecież malowano mu socyalizm zawsze w najczarniejszych barwach, a teraz mianoby od niego żądać, aby stało się usłużnym szczeblem po którym socyaliści weszliby do sejmu?

Wybierając niemieckich socyalistów naszymi głosami, przygotowalibyśmy teren dla agitacyi socyalistycznej i polscy „towarzysze“ skorzystaliby z tego, włażąc drzwiami i oknami w nasz dom narodowy.

Wniosek pana Kościelskiego wyłonił się z niewiary w naszych posłów i uwielbienia dla zdolności posłów socyalno-demokratycznych, jest *utopią polityczną*, której sam autor nie przypisuje praktycznego znaczenia, jest bańką mydlaną...

Ale tkwi w tej utopii wskazówka.

Trzeba nam pokazać „pazury“, szukać „lekarstwa na szowinizm,“ jakto wynika z projektu pana Kościelskiego. Ale zamiast zbroić się w socyalistyczne pazury, należałoby szukać własnych, czyli *odświeżyć kadry poselskie dzielnemi, młodemi siłami,* szukać ich w społeczeństwie, wysłać do Berlina zastęp pewnych siebie, uzbrojonych od stóp do

głów posłów w rodzaju Bebla i Singera, którzy potęgą ducha swego wznieciliby popłoch w szeregach nieprzyjacielskich. Należy nam *chwycić się taktyki uwielbianych szermierzy socyalistycznych*, podpatrzeć, w czem mieści się ich dzielność.

Przedewszystkiem tajemnica ich sukcesów tkwi w ogromnej wierze w siebie i zupełnem oddaniu się misyi, tak iż tworzą w parlamencie nieustraszoną, zdeterminowaną falangę. Tymczasem w Kole polskiem brak ducha, brak poświęcenia się zadaniu i dlatego Koło polskie traci tak bardzo przez porównanie z partyą socyalnych demokratów.

Zastęp mężnych i wymownych posłów polskich zrobiłby na rządowcach w sejmie niemniejsze wrażenie od wystąpień Beblów, z których sukcesów my nie możemy mieć ani materyalnego ani moralnego pożytku. Szukajmy tedy ludzi o lwich pazurach i zamiast zbliżać się do Niemców w rękawiczkach pokażmy im *własne pazury*.

Utopia polityczna pana Kościelskiego, aczkolwiek jest li tylko utopią, która rozwiewa się niby mara w świetle racyonalizmu, pojawiła się na czas w okresie przedwyborczym, bo ujawniła na dnie swem spoczywającą myśl ogółu, która da się zamknąć w słowach: *nie rękawiczek — lecz pazurów!...*

Quis.

Galicya — a nowa niemiecka taryfa celna.

Piszą nam z Galicyi:

„Wśród ciągłych waszych walk i trosk, nie zauważyliście zapewne, bracia w zaborze pruskim, że u nas tu, w Galicyi z niemniejszą niż u was uwagą śledzono przebieg obrad nad nową niemiecką taryfą celną.

Nie dziwcie się też, że wieść, iż wasze Koło polskie w parlamencie głosowało za taryfą, wywołało tu wielkie niezadowolenie, a nawet żal w szerokich kołach. Dziś wiemy już, że *nie całe Koło,* lecz tylko pięciu posłów uważało za potrzebne poprzeć tę nową handlowo polityczną ustawę, wiemy także, że głosy tych posłów nie zaważyły na szali, że i bez nich taryfa stałaby się była prawem, mimo to żal pozostał. Czy słuszny, osądźcie sami.

Z głosów prasy waszej, z tego cośmy wyczytali w „Pracy,“ z walki, jaka się o to u was toczyła, a mianowicie właśnie z faktu, że połowa posłów waszych nie mogła pogodzić ze swem sumieniem i obowiązkiem względem wyborców głosowania za taryfą, przekonaliśmy się, że zdania co do jej pożyteczności są u was podzielone, że sami jeszcze przewidzieć nie możecie, czy *ogółowi* waszemu przyniesie korzyść lub szkodę? Tymczasem u nas tu w całem społeczeństwie *jedno, zgodne panuje zdanie i przekonanie, że nowa niemiecka taryfa będzie ciężkim ciosem dla Galicyi i całej jej ludności, że zwiększy jeszcze biedę naszą.* I oto źródło żalu do tych posłów waszych, którzy głosowali za taryfą.

Nakłada ona bowiem, jak wiadomo, *znacznie wyższe* cła na wszelkie gatunki zboża, na bydło, nabiał, jarzyny i owoce, na drzewo i płody kopalniane. O zboże właściwe, chlebowe, tj. żyto i pszenicę tak bardzo nam nie chodzi, bo i dotychczas już nie wiele go wysyłaliśmy do Niemiec. Za to dla jęczmienia naszego, dla bydła, jaj, drobiu, drzewa i nafty, Niemcy były dla nas głównem polem zbytu, a pole to teraz nowa niemiecka taryfa cłowa niemal zupełnie nam zamyka. Fakt zaś, że hr. Bülow nie chciał przystać na bezbrzeżne pretensye agraryuszy niemieckich co do cła na żyto i pszenicę, a właśnie co do jęczmienia poczynił znaczne ustępstwa, wykazuje jasno, że pragnął wprost zadać cios dotkliwy *Austryi.*

Pomyślcie tylko: Austro-Węgry wywoziły dotychczas rozmaitych gatunków zboża do Niemiec rocznie za 90 do 100 milionów koron, w roku ubiegłym za 93 miliony, a z tej sumy przypadało na jęczmień surowy blizko 50 milionów koron, na słód zaś blizko 29 milionów, czyli na jęczmień razem 79 milionów to jest mniejwięcej 80 procent całego zbożowego wywozu. A był to właśnie jęczmień browarniany, na który nowa taryfa podwyższa cło z *2 na 4 marki.* W jakiej ilości partycypuje Galicya w tym wywozie, tego dokładnie, na miliony koron, wyliczyć wam nie mogę; faktem jednakże jest, że procent przypadający na Galicyą jest *bardzo znaczny,* że przeto utrudnienie wywozu jęczmienia do Niemiec da się dotkliwie we znaki rolnikom naszym.

Tak samo ma się rzecz z jarzynami strączkowemi, z mąką, z drobiem i jajami, z drzewem i naftą.

Aby jednakże unaocznić wam dobitnie straty, jakie rolnicy nasi poniosą z powodu nowej tej taryfy, przedłożymy wam następujący przykład.

Jednym z głównych naszych artykułów wywozowych do Niemiec było *bydło.*

Rząd pruski i tak już dotychczas starał się wywóz ten ograniczyć przez rozmaite zarządzenia *weterynaryjno-policyjne,* zupełnie zbyteczne, bo stosunki zdrowotne między naszem bydłem nie są gorsze niż u was, a i kontrola weterynarska jest tak samo ścisła, jak w Prusach. Co atoli teraz będzie — o tem przekonajcie się sami. Dotychczas opłacać trzeba było od wywożonych do Niemiec buhai 9 mrk, od bydła młodocianego 5 mrk., od cieląt 3 mrk., od wołów 25,50 mrk. — od *sztuki.* Tymczasem już niemiecki projekt rządowy podniósł cła te do następującej wysokości: od buhai na 25 mk., od bydła młodocianego na 15 mk., od cieląt na 4 mrk., od wołów na 12 mrk. — i to *nie od sztuki, lecz od centnara metrycznego.*

Komisya parlamentu niemieckiego zaś zaleciła rządowi do uwzględnienia cło wysokości *18 mrk. od* centnara, bez względu na rodzaj bydła. Obliczcie: Weźmy w rachubę wołu 12 centnarowego, a więc przeciętnego. Od takiego wołu płacono dotychczas na granicy cła 25 mrk. — odtąd zaś płacić będzie trzeba (6 metr. centn. po 12 mrk.) — 72 mrk. — jeżli zaś rząd uwzględni żądanie komisyi, aż 108 mrk. Wół taki może być wart 300 do 400 mrk., *cło więc wynosić będzie 25 do 30 procent jego wartości.* To — przyznacie sami — trochę *za wiele!*

Ekonomiści twierdzą, że rolnictwo w Niemczech nigdy już nie zdoła wyprodukować tyle bydła, ile potrzeba na wyżywienie ludności Rzeszy niemieckiej, że przeto Rzesza ta zawsze skazaną będzie na dowóz bydła *z zagranicy.* Cóż z tego? To tylko, że albo nowe wasze cła *podrożą* ogromnie cenę *mięsa u was,* albo też obniżą niesłychanie *wartość bydła u nas.* Jeżli bowiem, rzeźnicy wasi koniecznie potrzebować będą dowozu z Austryi my tu naturalnie *nie obniżymy ceny* i wówczas cło wyższe musi zapłacić *konsument u was.* Jeżli atoli zjawi się na targach waszych jeszcze tańsze niż nasze bydło, dajmy na to z Ameryki południowej, wówczas nasi rolnicy chcąc konkurować z Ameryką, zniewoleni będą obniżyć cenę swego bydła, aby tylko pozbyć go się w Niemczech i dostaną za sztukę zamiast 300 tylko 250 a może i mniej marek, czyli że cło *na nich się odbije.* A że to strata dla rolnika ogromna, to przyznacie sami.

Tak jest! *Nowa niemiecka taryfa celna wyrządzi Galicyi szkodę na conajmniej 15 do 20 milionów marek,* a co to znaczy przy naszej biedzie, tego tłomaczyć nie potrzebujemy.

Gdybyśmy to jeszcze w Austryi mieli rząd silny, gdyby parlament był zdolny do pracy, możebyśmy Rzeszę niemiecką mogli tak przycisnąć do muru, iżby odechciało jej się w ten sposób karotować „sprzymierzeńca.“ Austrya wywozi wprawdzie do Nie-

mieć płodów swoich rocznie za 900 milionów koron, za to atoli sprowadza ztamtąd, przeważnie wyrobów przemysłowych za *600 przeszło milionów.* Nuż więc odpowiedzielibyśmy tu na wasze cła rolnicze odpowiedniem podwyższeniem naszych ceł *przemysłowych,* industrya niemiecka jęczałaby w niebogłosy i pewnie by wywarła nacisk na rząd, aby utrzymał się w swych zapędach. Ale o tem na razie nie ma mowy. Parlament nasz rozbity, nie mamy ugody z Węgrami, nie mamy *własnej* nowej taryfy. Na opiekę rządu austryackiego wcale więc liczyć nie możemy i jesteśmy zdani na łaskę — Prusaków.

Pytamy się tedy, jakże część Koła polskiego u was mogła popierać tę nową taryfę, tem bardziej, że przecież i u was taka panuje *przeciwko niej opozycya?*

Jeszcze jedno! Jesteśmy przecież *jednym narodem,* sztuczne granice zaborów dla nas nie istnieją. Obowiązkiem każdej części narodu jest więc brać względ na dobro *całości.* Czy i o tem nie pomyślano u was?

Prawdą jest, że stanowicie przedmurze nasze, że każda piędź ziemi u was ma dla *całego* narodu znaczenie *twierdzy.* Sami atoli pewni nie jesteście, czy nowa taryfa w drobnej chociaż mierze *ułatwi wam* obronę tych twierdz....

Nie dziwcie się więc, że głosowanie owych 5 posłów za taryfą wzbudziło tu pewien żal.

Galicyanin."

Pamiętajmy o Czytelniach Ludowych!

Głos Lector'a w sprawie Czytelni Ludowych powinien wywrzeć wrażenie na kierowników tej instytucyi i rozbudzić interes dla niej w szerokich warstwach społeczeństwa. A ponieważ sprawa to ważna, więc pozwolę sobie dorzucić kilka słów do artykułu w gwiazdkowym numerze „ Pracy."

Instytucya Czytelni ma cel dwojaki: po pierwsze ma dawać książki polskie tym najuboższym, którym trudno zdobyć się na ich zakupno, ma szerzyć zdrową oświatę, a powtóre i wśród zamożniejszych obudzać zamiłowanie do czytania i pobudzić ich do nabywania strawy duchowej za własne pieniądze. Był czas, że z dumą i zadowoleniem spoglądać mogliśmy na działalność tej instytucyi; lecz to niestety minęło. Dziś walczy ona z niedoborami, z apatyą społeczeństwa. Jednostki, które dawniej hojnie ją wspierały, wymarły, ogół zaś nie poczuwa się jeszcze należycie do ofiarności na ten cel. Nawet zaprowadzony przed kilku laty w kołach obywatelstwa ziemskiego zwyczaj, dawania po polowaniu na Czytelnie po trojaczku od każdego ubitego szaraka — zatraca się znowu. A dostarczał on Czytelniom wcale pokaźnej zapomogi. Być może, że powiedziano sobie w tych kołach: dlaczego *my wyłącznie* mamy ponosić ofiary, gdy inni, np. zamożniejsze mieszczaństwo usuwa się od nich?

I chociaż refleksyi takiej za słuszną by uznać nie można, to jednak nie wolno by jej było brać za złe. Podatek z polowania był niekiedy wcale niemałym ciężarem — dochodził czasem do 40 marek i więcej. Dlaczegoż ma wyłącznie ciążyć na ziemianach? Czy np. ci, którym dochód pozwala kupować i jeść zające, nie mają również obowiązku składkowania na ten ważny cel publiczny? Zapewne że i na nich ciąży taki sam obowiązek, jak wogóle na całym ogóle.

Tak jest! Od poziomu oświaty najszerszych kół społeczeństwa naszego zależy dobro — a nawet byt jego w przyszłości. Gdy te masy będą ciemne nieoświecone, nie tylko same łatwiej staną się pastwą germanizacyi, ale nadto pociągną za sobą w tę przepaść resztę ogółu. Szkoła, zdegradowana na zakład tresury w rzeczach niemieckich, nie daje młodzieży z szerszych warstw naszych wiadomości, nieodzownie potrzebnych do walki zarobkowej. W inny więc sposób musi je sobie przyswoić, jeżli niema przez całe życie być tylko pognojem dla niemczyzny. Od ludzi ciemnych nie można żądać ani wykonywania obowiązków społeczno narodowych, ani przestrzegania solidarności narodowo-społecznej. Więc *wszyscy* dziś porówno powinniśmy starać się o to, ażeby poziom oświaty ludu naszego podnosił się coraz bardziej.

Do tego zaś dążą Czytelnie ludowe. Być może, że system zbierania na nie funduszy jest wadliwy, nie odpowiedni, że wymaga reformy. Ale i najlepszy nie wyda dobrego rezultatu, dopóki ogół nasz nie nabierze przekonania, iż popieranie tej instytucyi jest tak samo ważnym warunkiem bytu naszego, jak obowiązek *popierania swoich* w dziedzinie ekonomicznej.

Oświata ludu — dokaże cudu! Pomyślmy o tem na seryo i popierajmy hojniej tę ważną instytucyę. Nie chodzi o wielkie kwoty; wystarczą małe datki, byłe było ich jaknajwięcej. Gdy lud nasz będzie oświecony i uświadomiony, sowicie wynagrodzi wszystkim i całemu ogółowi te drobne dla dobra jego poniesione ofiary!

Zabiegliwy.

Z TYGODNIA.

Świąteczny tydzień przyniósł światu cywilizowanemu sensacyjną niespodziankę, która jakkolwiek na bieg wielkiej polityki i sprawy narodów żadnego nie wywrze wpływu, jednak bardziej zajęła umysły, niż wszelkie inne sprawy polityczne. Na wyżynach tronu rozegrał się znów dramat, który dowiódł ponownie, że ludzie są zawsze tylko ludźmi, chociaż skroń ich zdobi korona królewska. Małżonka następcy tronu królestwa *saskiego,* księżna Marya Ludwika, opuściła męża i dzieci i wraz z kochankiem swym, Francuzem, nauczycielem starszych jej dzieci, uciekła do Szwajcaryi. O przyczynach tego szalonego jej kroku różne obiegają wersye. Jedna twierdzi, że małżonek jej, następca tronu bardzo ją zaniedbywał, że sam romansował z aktorkami; inna znów, że księżna nie umiała się poddać surowej etykiecie dworskiej, że cierpiała dużo, aż wreszcie, znalazłszy w osobie owego nauczyciela, nazwiskiem Giron, „pokrewną duszę," zdecydowała się porzucić męża i koronę i wieść odtąd żywot zwykłej śmiertelniczki. Wiadomość o tem wywołała ogólne zdumienie. Wobec podeszłego wieku teścia księżniczki, króla Jerzego, który nadto złożony jest ciężką niemocą, może już za kilka tygodni lub miesięcy księżna jako królowa zasiadłaby była na tronie. Godność królewska — to w oczach zwykłych ludzi szczyt wielkości i szczęśliwości ludzkiej. A jednak kobieta ta jej się wyrzekła i woli pędzić życie w trosce i niesławie, niż nosić koronę królewską i przyjmować hołdy milionów. Więc dziwią się jej ludzie i tego jej kroku pojąć nie mogą. A no, widocznie prawdą jest, co mówią ci, którzy stoją bliżej tronu, że korona królewska to nieraz korona cierniowa.

Wypadek ten jest przykrym nietylko dla wszystkich zwolenników monarchii, ale także dla katolików. Księżna bowiem jest córką szczerze katolickiego austryackiego arcyksięcia Ferdynanda, który do roku 1860 był

księciem włoskiego państwa *Toscany*, a także rodzina jej męża, saska rodzina królewska jest katolicką. Nie skończyło się zaś w tym wypadku na jednym skandalu. Wraz z księżną porzucił rodzinę i wszelkie swe godności brat jej, austryacki arcyksiążę *Leopold*. I on wyjechał do Szwajcaryi wraz z kochanką — z zawodu aktorką, zrzekłszy się wpierw godności członka domu cesarskiego, tytułu i wszelkich urzędów. Rodzina usiłowała obu zbiegów książęcych nakłonić do powrotu, lecz daremnie. Zarówno brat jak i siostra oświadczyli, że co się stało, już się odstać nie może, że nie wrócą za żadne skarby świata. Ciężki to cios mianowicie dla zacnego i szlachetnego monarchy Austryi, sędziwego *Franciszka Józefa*, który tyle już zmartwienia doznał ze strony swej rodziny.

Dla nas wypadki te są tylko nowym dowodem, że poczucie obowiązku u ludzi coraz bardziej się teraz rozluźnia, nawet na wyżynach tronu. Jeźli kto bowiem, to ci, których Opatrzność powołała do rządzenia milionami, powinni tym milionom dalszym przyświecać przykładem, chociażby z tego powodu dużo cierpieć musieli. Tymczasem dzieje się inaczej. A potem dziwią się monarchowie, że godność królewska traci coraz bardziej na powadze i znaczeniu....

Z tą niespodzianką zbiegła się inna, nie mniej może sensacyjna. W *Madrycie*, stolicy Hiszpanii, aresztowała policya rodzinę *Humbertów Daurignaców*, która popełniwszy w ciągu lat 20 w Paryżu oszustw bardzo sprytnych na sumę 100 milionów franków, zbiegła ztamtąd w maju r. b. Szukano jej niby po całym świecie, a tymczasem mieszkała swobodnie tuż w sąsiedztwie Francyi. Złośliwi twierdzą z powodu tego, że policya francuzka właściwie nie miała ochoty zbiegów tych schwytać, a to z tej przyczyny, ponieważ w ich oszustwach maczało podobno ręce także dużo wybitnych francuzkich mężów politycznych. Dopiero, gdy wskazano policyi miejsce pobytu Humbertów — z konieczności trzeba ich było ująć. Aresztowani, których już odstawiono do Francyi, grożą też podobno, że przed sądem poczynią zeznania, które niejednego z dygnitarzy francuzkich zepchną z zajmowanej pozycyi, a zachwieją nawet obecnym gabinetem masońskim. Czy się groźby te spełnią, trudno przewidzieć, w każdym razie proces, jaki rodzinie tej wytoczony zostanie, wykaże, do jakiego już stopnia doszła wewnętrzna zgnilizna we Francyi.

Z spraw czysto politycznych interesują dziś ogół przeważnie dwie, a mianowicie podróż rosyjskiego ministra spraw zewnętrznych hr. *Lambsdorffa* do *Serbii, Bułgaryi i do Wiednia*, oraz sprawa owego zatargu z *Wenezuelą*, o której w przeszłym numerze tak obszernie pisaliśmy. Pierwsza to jest podróż *Lambsdorffa*, ma na celu zażegnanie burzy, jaka zawisła nad półwyspem bałkańskim i pokojem europejskim z powodu zaburzeń w *Macedonii*. Na żądanie mocarstw, Turcya przyrzekła zaprowadzić w tym kraju reformy, zaopiekować się bardziej ludnością chrześciańską, ale te reformy nie zadowoliły ani mocarstw, ani ludności tamtejszej. Trzeba więc było coś uczynić bardziej stanowczego. Rząd rosyjski, do którego Słowianie bałkańscy odwołują się zwykle po pomoc i opiekę, nie mógł z tem zwlekać dłużej. Postąpił zaś zupełnie lojalnie, porozumiewając się w tej sprawie z Austryą, jako niemniej interesowaną w sprawach bałkańskich. W Wiedniu też, dokąd hr. Lambsdorff przybył w ostatnich dniach starego roku, zapadła zapewne decyzya co do dalszych losów Macedonii. Piszą że kraj ten ma otrzymać zupełny samorząd, lecz pewnego nic jeszcze co do tego nie wiadomo. Do *Bułgaryi* w żadnym razie przyłączony on nie zostanie.

O ile ta sprawa zdaje się być dzisiaj na dobrej drodze, o tyle niepewnym jest jeszcze dalszy rozwój sprawy *wenezuelskiej*. Zniszczywszy flotę wojenną tego kraju, *Niemcy* i *Anglia*, do których przyłączyły się jeszcze Włochy, zarządziły ścisłą blokadę wybrzeży wenezuelskich, ażeby państwo to zupełnie ogłodzić i w ten sposób zmusić do spełnienia żądań niemiecko-angielsko-włoskich. Tymczasem prezydent Wenezueli Castro nie uląkł się jeszcze i tego środka. Nie uznaje on widocznie pretensyi rzeczonych mocarstw za słuszne, bo zaproponował im, ażeby spór poddać do rozstrzygnięcia sędziemu rozjemczemu, na którego zaproponował prezydenta Unii aemrykańskiej *Roosevelta*. Niemcy nie miały z początku ochoty przyjąć tej propozycyi, gdy atoli zarówno w Ameryce półn. jak i w Anglii opinia publiczna coraz bardziej oburzała się na ten najazd na Wenezuelę, zgodziły się na sąd rozjemczy. Tymczasem prezydent Roosevelt oświadczył, że się urzędu takiego podjąć *nie chce*. Sytuacya stała się teraz bardzo trudną. Jeźli bowiem rząd wenezuelski nie podda się rychło, pochłonie utrzymanie okrętów wojennych na wybrzeżach kraju tego sumy, które kilkakrotnie przewyższą wszelkie pretensye Niemiec i Anglii. A tych sum nie będzie już można wywindykować od Wenezueli, lecz zaciążą one na budżecie Niemiec i Anglii. Ludność Rzeszy niemieckiej czekają więc znów nowe wielkie ciężary. Jak się sprawa ta skończy, absolutnie jeszcze przewidzieć nie można. Niemcy okazują wielką ochotę, aby wysłać do Wenezueli kilka tysięcy wojska, i *„żelazną pięścią“* wymódz na jej rządzie spełnienie swych pretensyi, cóż, kiedy na to *Ameryka północna* nigdy by nie zezwoliła. Łatwo więc być może, że sprawa ta skończy się nową dotkliwą porażką polityki hr. Bülowa.

I tak nie braknie rządowi niemieckiemu kłopotów. Nowa taryfa wprawdzie uchwalona, ale rozpętane nią namiętności bynajmniej się jeszcze nie uspokoiły. Nie ulega też wątpliwości, że przy odnawianiu traktatów handlowych z innemi mocarstwami powstaną wielkie trudności. *Parlament niemiecki* zbierze się dnia 13 stycznia, ażeby radzić nad budżetem przyszłorocznym, który, jak wiadomo, również nie przedstawia się wesoło. W tym samym dniu zbierze się także *sejm pruski*. Tak w jednem jak i w drugiem ciele prawodawczem przyjdzie wkrótce do walnych rozpraw *polskich*. Spodziewamy się, że posłowie nasi staną na wyżynie obowiązków swoich wobec ludności polskiej i w tej nadziei z całym spokojem oczekujemy tych debat.

K. O.

Przegląd prasy.

Pomimo Świąt, na niwie polityczno-społecznej panował ożywiony ruch, uchwalony bowiem projekt cłowy, stanowisko posłów polskich wobec tegoż oraz kwestya jaki wpływ wywrze zachowanie się Koła polskiego na przyszłe wybory poruszyły umysły. Sprawa ceł rozjątrzyła i rozdwoiła nasze społeczeństwo, chociaż nie odgrywaliśmy przy niej w parlamencie ważnej roli a — co ważniejsza — w gruncie rzeczy nikt o doniosłości nowego ustawodawstwa cłowego nie śmie przesądzać stanowczo i przekonywująco. W pewnych kołach chwycono się tej sprawy, by zrobić z niej hasło partyjne i środek agitacyjny a niezgrabne, chwiejne zachowanie się Koła polskiego spowodowało tem większy ferment. Głosując za cłami bez odnośnego upoważnienia ze strony Koła, trzej posłowie polscy stanęli w jaskrawej sprzeczności z kołami mieszczańskiemi, z któremi należało się liczyć

tem więcej, iż był rzeczą całkiem obojętną na obro. sprawy w parlamencie czy Polacy oświadczą się za podwyższeniem ceł, czy przeciw nim a Koło nie powzięło w tej mierze ostatecznej rezolucyi. Krok ten posłów spotkał się też w całej prasie naszej z mniej lub więcej nieprzychylną krytyką.

„Gaz. Toruńska“ nazywa krok ten wprost „obliczonym na drażnienie kół mieszczańskich“ i pisze:

> „Książę Radziwiłł i towarzysze pozbawili nas, niestety, zbyt nieoględnie znakomitego środka agitacyjnego zarówno w miastach zachodnio-pruskich i wielkopolskich, jak na Ślązku i na obczyźnie a wielce przysłużyli się mianowicie centrowcom. Jeżeli — co trudno przypuścić — o to tylko im chodziło, to przyznać trzeba, że sztuka im się udała. *Zobaczymy przecież, jak rozprawiają się z nimi wyborcy.*“

W tym samym duchu pisze *„Gazeta Gdańska.“* Z powyżej zacytowanego zdania okazuje się nie mniej jak z innych objawów, że przyszłe wybory będą burzliwe i nastąpi silne starcie prądów, nurtujących w naszem społeczeństwie. To też panuje pewna obawa, czy przy urnie wyborczej zapanuje *absolutna solidarność.*

Położenie rzeczy określa trafnie *„Kur. Pozn.,“* który przepowiada, że *przyszłe wybory* obudzą daleko większy interes od dawniejszych. Sprawa przynależności ewentualnych przyszłych posłów ze Ślązka do Koła oraz projekty reformy statutu Koła były niejako wstępem do właściwej dyskusyi przedwyborczej.

> „Z drugiej strony, pisze dalej *„Kur. Pozn.“* — spotykamy się z twierdzeniem, ujawnionem także w prasie, że najlepiej byłoby pozostawić skład Koła takim, jakim jest obecnie ze swojemi usterkami i zaletami, a przedewszystkiem doświadczeniem parlamentarnem. Otóż znajduję, że oczywiście w sprawie kandydatów, żadnego zdania a priori potępiać nie można. Wolność dyskusyi i krytyki jest tu rzeczą zasadniczą, byle krytyka mianowicie w prasie objawiała się *rzeczowo, tak by spokojna dyskusya mogła sprawę rozświetlić.* Potępiać tylko należałoby wysuwanie nowych kandydatur w ostatniej chwili i rozdwajanie grona wyborców. Przy wyborach samych musi panować *bezwzględna i absolutna solidarność.* Na dyskusyę i krytykę czas przedtem.“

Z tem ostatniem zdaniem zgodzi się każdy dobrze myślący obywatel. Co się tyczy twierdzenia, że Koło należy pozostawić takiem, jakiem jest, to nietylko wątpimy bardzo, aby dało się to przeprowadzić, lecz jesteśmy zdania, że pewne zmiany w składzie posłów zarówno jak w regulaminie Koła stały się konieczne. Godzimy się z „Kur. Pozn.“ że nie należy wyzyskiwać haseł w sposób jątrzący a mianowicie

> „sprawy ceł, która doprawdy, jako nader zawikłana do stawiania kwestyi odpowiedzialności poselskiej bynajmniej się nie nadaje.“

Przeciwko ponownemu wyborowi posłów, którzy oświadczyli się za cłami w Kole, oświadcza się *„Gaz. Tor.“* Nadto w *„Orędowniku“* odzywa się głos wyborców z Buku przeciwko kandydaturze posła Cegielskiego dlatego, iż miał się sprzeciwić z życzeniami wielu swych wyborców. „Kur. Pozn.“ przemawia wymownie przeciwko wyszrubowaniu sprawy cłowej jako wątpliwej i pisze:

> „Jesteśmy równie przeciwni karceniu tych posłów, którzy głosowali przeciwko cłom, jak wytwarzaniu jakiejś strasznej odpowiedzialności tych posłów, którzy głosowali za cłami.“

„Wielkopolanin“ dowodzi jak zawiłą jest sprawa ceł i taką robi uwagę:

> „Przeciwnicy ceł twierdzą uporczywie, że cła koniecznie muszą wpłynąć na podrożenia artykułów spożywczych.
>
> „Takie twierdzenie jest przedwczesnem. Wiemy naprzykład, że w ostatnim roku podniosły się bardzo znacznie ceny na artykuły spożywcze, mianowicie panowała a i dziś jeszcze nie ustała drożyzna mięsa, a przecież w tym czasie żadnych nadzwyczajnych ceł nie nałożono. Cła i utrudnienia w dowozie bydła z zagranicy istnieją prawie bez żadnych zmian od lat kilku — a jednak drożyzna dopiero w tym roku tak dotkliwie uczuć się dała.“

W prasie górnoślązkiej tak samo jak w wielkopolskiej wre życie. *„Katolik“* odstąpił od swej taktyki milczenia i wysunął swe ostrze przeciw *„Górnoślązakowi,“* milczenie bowiem było nadal wprost niemożliwem.

W szczegóły tej wojny domowej nie możemy tu wchodzić. Ważniejsze, że *„Katolik“* określa swe stanowisko wobec Tow. wyborczego, pisząc:

> „Towarzystwo z takim celem, musi być w zasadzie sympatyczne „Katolikowi“, ponieważ i jego praca dobro ludu ma na celu. Chodzi jednak o to, jak się ta sprawa w praktyce przedstawia.“

„Katolik“ nie godzi się na hasło Tow. „precz z centrum“, i nie radzi wybierać posłów do Koła polskiego, będąc przekonania, że

> „przy rozważnem prowadzeniu polityki *w obrębie centrum* w pokojowy sposób, dorobek ludu polskiego przy przyszłych wyborach będzie zadawalniający dla jego życzeń.
>
> „Uważamy również, pisze „Katolik“ że Koło polskie takie, jakiem jest, ze względu na różnicę między prawno-politycznem stanowiskiem Polaków w Poznańskiem a Polaków na Ślązku, ze względu na statut tegoż Koła, wyraźnie stanowiący, że Koło przyjmuje wyłącznie posłów z Poznańskiego i Prus Zachodnich, ze względu na przymus głosowania podług uchwały większości i wreszcie z powodu różnic w poglądach na sprawy ekonomiczno-społeczne, nie daje posłom naszym ze Ślązka możności przystąpienia do Koła i działania swobodnie i zawsze dla dobra wyborców.“

Jest rzeczą jasną, ze wielki, decydujący może wpływ na obrót tej sprawy wywrze Koło polskie, które będzie zmuszone oświadczyć **się** za wcieleniem posłów **szlązkich do Koła a więc** zmienić statuty i **pozostawić** posłom ze Śląska **wolność głosowania w** sprawach zarobkowych albo — odepchnąć kolegów śląskich od Koła, pozostawić ich w łonie centrum. **Jest to sprawa stokroć ważniejsza od prawie pogrzebanej kwestyi ceł i koła wyborcze u nas powinny przedewszystkiem wybadać swych posłów jakiego są zdania w tej materyi.**

Sprawy śląskie przywodzą nam zawsze na myśl germanizacyą przez kościół. W Księstwie nie występuje ona na jaw jaskrawie, lecz i tu toczy się nieustanna, *cicha walka pomiędzy katolikami obu narodowości.* Niemieccy, „mniej wartościowi“ katolicy domagają się wiecznie powiększenia liczby nabożeństw niemieckich li tylko dlatego, by wyprzeć język polski z przybytku Pańskiego i przez niemieckie nabożeństwa germaizować Polaków, którzy na nie uczęszczają chociaż mają polskie nabożeństwa. Dwa smutne fakty registrują gazety z tej dziedziny, wypadki ustępstw księży polskich na rzecz wiecznie niezadowolonych, hakatystycznych Niemców katolików. I tak *„Dzien. Pozn.“* donosi:

> „Dla wygody *około 30 Niemców* katolików w *Inowrocławiu* zarządziła władza kościelna, że w te niedziele, w które odbywają się niemieckie kazania, mają być podczas mszy św. śpiewane niemieckie pieśni. *W drugie święto Bożego Narodzenia odbyło się pierwsze takie niemieckie nabożeństwo“.*

„Tutejsi niemieccy katolicy postawili na swojem!“ — pisze inowrocławski korespondent *„Postępu“* i następnie dodaje:

> „Liczba katolików niemieckich w stosunku do parafian polskich jest tutaj w Inowrocławiu *bardzo nikła* i dwa kazania, a do tego jeszcze śpiew niemiecki to za wielkie ustępstwo, ale nasz probeszcz jest bardzo skłonny do wszelkich ustępstw na rzecz języka niemieckiego, jest to znaną rzeczą.“

Smutna gwiazdka dla Polaków-katolików w Inowrocławiu i niespodziana, bo ks. prob. Laubitz dowodził jasno w „Köln. Volksztg.,“ że jego niemieccy parafianie nie mogą rościć najmniejszych pretensyi, by poczyniono im jeszcze więcej ustępstw.

Nie mniej smutną gwiazdkę — jak piszą z *Mosiny* do „Orędownika“ — zapowiedział tamże z kazalnicy ks. prob. Kałkowski swoim parafianom a mianowicie, że w pierwsze święto Bożego Narodzenia odbędzie się nabożeństwo ze śpiewem niemieckim, a potem niemieckie kazanie. Obwieszczenie to wywołało wielkie poruszenie.

Wobec tego spodziewać się należy, że Polacy unikać będą niemieckich nabożeństw i przestrzegać, by dzieci ich nie uczęszczały na niemieckie śpiewy i nie robiły przyjemności tym, co pragną opanować kościół nasz i uczynić z niego instrument do niemczenia.

B. M.

PODAREK NOWOROCZNY

DLA CZYTELNIKÓW „PRACY".



Nakładem Wydawnictwa »Pracy« (Marcin Bidermann). Druk W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie.

PRACOWITY JEZUS.

Mały Jezus, zbawca świata,
Wasz rówieśnik, dziatki,
Własną rączką codzień zmiata,
Pył z rodzinnej chatki.

I świętemu Józefowi,
Strudzonemu wielce,
Dopomaga, jako umie,
Przy jego ciesielce.

Gdy najświętsza Matka Boża,
Do kądzieli siędzie:
To On wełnę Jej nawija
I patrzy jak przędzie.

To znów cichy, pokorniutki,
Przy Matusi klęknie:
Weźmie książkę w drobne rączki,
I uczy się pięknie.

A wam z książką praca cała
Tak idzie niesporo...
Na kolana dziatwo mała,
Przed Jego pokorą!

Wł. Bełza.

Dział Illustrowany.

NOWY ROK.

Witaj zdrowy, roku nowy,
Nowej pracy dniu!
Choć nie zdejmiesz troski z głowy,
Nie przysporzysz snu;
Choć się człowiek nie dopyta
W nowe gody te,
Czy mu na chleb starczy żyta,
Czy go minie złe;
Choć nie będzie lżej bić młotem,
Ani ciągnąć pił,
Chociaż musi krwawym potem
Spotnieć — aby żył,
Przecież sercu jego miło
Witać nowy rok,
I w świat boży z nową siłą
Podnieść jasny wzrok.



Bo jest w piersiach u człowieka
Taka dziwna moc,
Że z nadzieją słońca czeka,
Choć na ziemi noc...
Bo w nim żyje siła taka,
Taki pęd w nim tkwi,
Że się zrywa lotem ptaka
Do jutrzejszych dni.
Hej! niech życzy — kto życzliwy!
Uściśnijmy dłoń...
Jedność bratnia, skarb prawdziwy,
Tego skarbu broń!
Jak się człowiek po gromadzie
Spojrzy w ciężki czas,
To na sercu rękę kładzie:
Jeszczeć kupa nas!

Marya Konopnicka.

1903.

Powiedział ongi stary wieszcz z Czarnolasu, że

...na szczęście wszelakie
Serce ma być jednakie;
Bo z nas Fortuna w żywe oczy szydzi,
To da, to weźmie jako się jej widzi.

Rymowana ta sentencya niechaj będzie balsamem na troski, któremi nas darzył rok zeszły, albowiem

Nie porzucaj nadzieje,
Jakoć się kolwiek dzieje,
Bo nie już słońce ostatnie zachodzi.

I pokazuje się z tych wdzięcznych rymów, że już za czasów Kochanowskiego ludzie postękiwali na złą dolę, a ten i ów nieraz „głowę zwiesił i powagę schylił“, gdy mu troska dokuczyła. Nie znano jednak wtedy ani telegraficznych humbugów, ani kaczek dziennikarskich, ani giełdowych fluktuacyi, ani zbrojnego pokoju, ani hakatystów, ani wielu innych ślicznych rzeczy, które dzisiaj potworzyli sobie ludziska na własne swoje i innych utrapienie.

Rok zeszły ciężkim był i lepiej, że się już zwalił do olbrzymiego grobowiska przeszłości, bo przy nowym choćby tylko życzenia same zabrzmieć mogą nutą nadziei. „A po złej chwili piękny dzień przychodzi,“ powiada Kochanowski, i oby słowa jego złotą prawdą były! Pięknego dnia potrzebujemy, a taki dzień dla nas, to spokój w pracy, pogodne światło w umysłach, chleba wbród, dobrej woli dużo, wytrwałości jeszcze więcej, a za to mniej skarg, żalów, biedy, zawodów, choćby nawet występków i zbrodni. „Ty nie miej za stracone, co może być wrócone,“ i nie kłopocz się o to, że ci świat nie idzie po myśli, gdyś wszystko czynił rozumnie, ochoczo i uczciwie.

I oto życzenie „dnia pięknego,“ które wam, czytelnicy, zasyła nasza „Praca“. Tyle tylko... a tak wiele!... Bo w pracy rozumnej, ochoczej a uczciwej mieści się wszystko, co możliwe dla człowieka, co nie przechodzi sił jego, co jest ziarnem posiewu, plonem przyszłości, choćby dalekiej. I godziłoby się tu na ten temat roztoczyć cały obraz obowiązków rodzinnych i społecznych, jednostkowych i powszechnych, gdyby każdy z was nie miał go w wyobraźni i w duszy. Zamiast rozprawy

przeto wolimy życzenie swe zakończyć znowu... wierszem, w którym Mickiewicz zamknął zwięźle a jasno przykazanie społeczne:

Skałom trzeba stać i grozić,
Obłokom deszcze przewozić,
Błyskawicom grzmieć i ginąć...
Nam — płynąć, płynąć i płynąć!

Redakcya.

Pożegnanie.

Wale!... jak oddalone echo groźnej burzy dźwięczy w przestrzeniach i drga smutne „żegnaj!...“

A w mdlejących promieniach gwiazd, po polu otulonem mroźnym puchem śnieżystej pościeli, płynie fala pielgrzymów w trosce i zadumie.

Bo oto król ich i przewodnik stary słabł o zgonie ostatniej zorzy wieczornej i kona w ciemnościach nocy.

Więc drżą serca tłumów, jak pieśń pogrzebowa lub jako dzwony cmentarne jesienią — a lica ich, blednąc, w miesięcznym promieniu, stają się podobne welonom otulającym lica zmarłych oblubienic w trumnie.

— Dokąd idziemy? — pytają. — Oto umiera on — starzec bezsilny, a przed nami bezdenna i posępna przepaść. Co rok ginie wódz nasz i co rok nowy wiedzie nas przewodnik. Dokąd i poco?...

A mówiąc tak, zbliżali się ku wielkiej przepaści, przez którą rzucony był most promienny, zbudowany ze skier, błyszczących w księżycu.

Na przeciwnym zaś krańcu owego mostu, wsparty o poręcz świetlaną, stał młodzieniec w koronie z gwiazd na głowie i purpurze na ramionach, błyszczącej niby wstęga zorzy porannej.

A stojąc tak, uśmiechał się i mówił do tłumu:

— Przyjdźcie ku mnie, znękani zawieją, otom jest następcą tego, który umrze za chwilę i porzuci was na zawsze. Oto pójdziemy razem w krainę zmartwychwstających poszumów majowych pól i wiosennych woni, w krainę rozkwitających róż i bijących harmonij serc — w krainę pieśni i zachwytu!...

Więc szły tłumy przez most promienny ku niemu. Stary zaś przewodnik, wsparłszy się o poręcz, stał w miejscu, słabnął coraz bardziej i konał w świetle gwiazd; a gdy wszyscy prócz niego przeszli na przeciwną stronę, rozległ się grzmot wielki — lament i przekleństwa.

To trup starca, żegnany groźbami lub żalem oddalających się tłumów, runął z mostem w otchłań bezdenną, rozdzielając dwie przestrzenie przepaścią nieprzekraczalną...

. . . .

Poszli!... z nadzieją świtów wiosennych w duszy!... a na dalekich krańcach ziejącej płomiennym żarem pustyni — w gorejących piaskach prastarej krainy dumał potwór kamienny o ciele lwa a głowie niewiasty i, spoglądając w tarczę wschodzącego słońca, uśmiechał się złowrogo.

T. J.

Wybiła duchów godzina....

Wybiła duchów godzina.—
Ostatni dźwięk wśród nocnych zcichł pomroków.....
Znów jeden rok wśród czasu legł potoków.
Ostatni dźwięk przedzielił toń wieczności:
Tam marzeń świt; za nami mgła przeszłości.
Rozwianych mar ruina.
Minęły wieki,
Prysły nadzieje...
Przed nami czas daleki,
Nieznanych lat koleje. —
Ja żegnam cię, przeniewierco,
Bez łzy bolu i żałości...
Nadziei ludu morderco,
Żegnaj, demonie przeszłości!

Przyszłości gwiazda już wschodzi...
Urocze mary wstają z uśpienia;
W błękit szybują lube marzenia...
Wierz w przyszłość, ludu, i snuj nadzieje:
W ręku twym losu twego koleje:
Nas zgoda, miłość odrodzi.
Jak jeden mąż
Przez ciernie, głogi
Do mety, ludu, dąż
A błyśnie raj nam drogi!
Witaj nam, roku przyszłości!
Cokolwiek niesiesz w swem łonie,
Ciernie, czy plony radości,
Nadzieją wieńczysz nam skronie.

Jan Koraszewski.

Nowy Rok bieży.

Jak perła upuszczona z rąk Bożych, toczy się na ziemię Rok Nowy.

W blasku migocących gwiazd i pyłu srebrzystego śniegu spływa cichy, niepostrzeżony i roztacza swoje wszechwładne panowanie nad wszystkiem na ziemi.

Czemże jest ten rok, którego początek tak uroczyście obchodzimy wzajemnemi życzeniami szczęścia?

Rok w obec Boga i wieczności to mniej, niż mgnienie oka — to mniej, niż jedno uderzenie serca — dla człowieka zaś, to długi szereg dni, które mijają w smutku lub radości, w szczęściu lub niedoli. Więc też ludzie życzą sobie z początkiem roku, aby te dni upłynęły im pomyślnie, aby przyniosły im wesele, a nie zgryzoty i łzy.

Rok po roku zapada się w przyszłość i coraz nowe lata świtają dla ludzi. Idą dziesiątki lat, a z nich tworzą się długie ich setki czyli wieki.

Od narodzenia Chrystusa Pana upłynęło już takich wieków dziewiętnaście — a z dniem 1-go stycznia 1901 zaczęło się dla nas dwudzieste stulecie ery chrześciańskiej. Jaki ten czas długi! Ile to w nim upłynęło ludzkiego życia, ile pochłonął on czynów i niezmiernych zasług, ile wydał rozkoszy — szczęścia, i rozpaczy — boleści.

Ile to mogił na całym świecie wzniosło się, po których nawet śladu nie ma dzisiaj, ile to narodów straciło byt, a ile nowych ludów powstało do życia. A czas płynie i płynie i rośnie w nim chwała Boża i pożytek ludziom, rośnie dobro i miłość, bo ten czas to stopnie, po których człowiek i ludzkość cała ma dążyć do lepszego, szczęśliwego bytu!

Gdy się zastanowimy nad życiem pojedyńczego człowieka, z łatwością dostrzegamy, jaki to wpływ każdy pojedyńczy rok wywiera na niego.

Z każdym rokiem rozwija się umysł nasz, postępując w wiedzy i nabywając nowych doświadczeń oraz stając się lepszym i mądrzejszym — rok bowiem, to doba rozwoju i postępu naszego — a wiek czyli sto lat jest znów dobą, która stanowi o postępie całej ludzkości.

Z historyi wiemy, że w bardzo dawnych czasach ludzie nie byli takimi,



TRZEJ KRÓLOWIE PRZED HERODEM.
Król Heród wysyłając Trzech Króli do Betleem rzekł: „Idźcie, a wywiadujcie się o dzieciątku, a gdzie znajdziecie, oznajmijcie mi, abym i ja przyjechawszy, pokłonił się jemu.“ Zdradziecki plan Heroda nie udał się, gdyż podczas powrotu z Betleem, odebrali od Boga rozkaz we śnie, aby się nie wracali do Heroda.

jakimi są dzisiaj; nie mieli oni wtedy takich wiadomości, ani nie znali tak różnorodnych sił przyrody i nie umieli tak wszystkiego obracać na swój pożytek, jak dzisiaj. Z wiekami postępowała ludzkość; każde sto lat przynosiło jej nowy postęp widoczny, aż doszli ludzie do tego, że zapanowali nad światem, ujarzmili siły przyrody, pokonali różne trudności, i dziś wznoszą olbrzymie gmachy, budują drogi i koleje ponad przepaściami, płyną morzami a nawet wznoszą się w powietrze balonem. I cegóż jeszcze spodziewać się możemy w przyszłości — cóż nam za nowy postęp przynieść może ten nowy wiek dwudziesty?

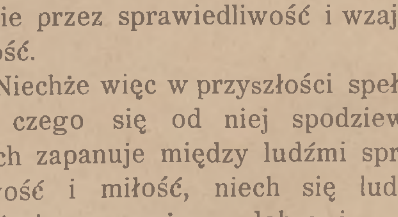
Cóż więcej poznać może człowiek, co jest dziś przed jego oczyma zakryte? O! bez miary jeszcze pozostaje człowiekowi do zdobycia! Przed okiem jego kryje Bóg coraz to nowe tajemnice, które poznawać w przyszłości będzie mu dozwolonem. Przed człowiekiem leżą jeszcze niedostępne dzisiaj wyżyny, ku którym przyszłość podnieść go powinna.

Wyżyna ta jest w sercu ludzkiem i w doskonałości, a wzniosą się na nią ludzie przez sprawiedliwość i wzajemną miłość.

Niechże więc w przyszłości spełni się to, czego się od niej spodziewamy. Niech zapanuje między ludźmi sprawiedliwość i miłość, niech się ludzkość wzniesie na wyżynę dobra i prawdy, gdzie znajdzie się szczęście dla wszystkich. Biedny niech dozna serca i oparcia, skrzywdzonemu niech wymierzą sprawiedliwość, a smutny niech pociechę odnajdzie. A da Bóg, że nietylko na ludzi pojedyńczych, ale i narody całe spłynie promień wolności i szczęścia w przyszłości.

Więc też i nasz naród polski niech zwraca oczy w przyszłość, i niech wygląda od wieku nowego spełnienia swych pragnień, lecz niech przytem pamięta, że nie nadejdzie dzień wolności bez zasługi i pracy ciężkiej, a wytrwałej.

Aniela Wierzbicka.



Rok i dzień narodzenia Jezusa Chrystusa.

Kiedy się narodził Chrystus Pan?

Od najdawniejszych czasów różniły się zdania w tym względzie. Ireneusz i Tertulian podają 41 rok panowania cesarza Augusta (715 od założenia Rzymu), Klemens Aleksandryjski, Euzebiusz, Epifaniusz i Oroses 42. Dyonizyusz mały wyznaczył przez ścisły rachunek rok 754 od zał. Rz., przyjęto powszechnie rok 747, opierając się na pewnej dacie śmierci Heroda, którą Józef naznacza na wiosnę 750 lub 751 roku, a która nastąpiła niedługo po narodzeniu J. Chr. według św. Mat. II. 22. Św. Łukasz III. 1 podaje dwie pewne daty: wystąpienie publiczne św. Jana Chrzciciela w 15-ym roku panowania Tyberyusza i wykaz obliczenia ludności w Palestynie (II 1-2), w czasie gdy Quirinus był wielkorządzcą Syryi



UCIECZKA DO EGIPTU.
Herod wydał okrutny rozkaz, ażeby w Betleem i w okolicy wymordowano wszystkich chłopców aż do dwóch lat. Ale Pan Bóg czuwał nad życiem dzieciątka. Anioł Pański ukazał się bowiem we śnie Józefowi, mówiąc: „Wstań, a weźmij dziecię i matkę jego, a uciecz do Egiptu, i bądź tam, aż ci powiem; albowiem będzie, że Herod poszukiwać będzie dziecięcia, aby je zatracił." Józef wstawszy natychmiast, wziął dziecię i matkę jego i wśród ciemnej nocy puścił się w drogę do Egiptu.

Otóż według tego rok poszukiwany dałoby się łatwo wyszukać, gdyby można być pewnym — co zdaje się prawdopodobnem, że data św. Łukasza obejmuje dwa lata wspólnego panowania Tyberyusza i Augusta, który umarł w r. 767 po z. Rz. (zatem 765+15=780). Jezus Chrystus zaczął publicznie nauczać po św. Janie mającym lat 30, według św. Łukasza III. (23 780 – 30=750). Ten rok wydaje się więc prawdopodobnym, zatem byłby to rok 4 „przed narodzeniem Chrystusa" według dzisiejszego sposobu liczenia 41. okresu juliańskiego, 4-ty 1930 olimpiady, 4709 od stworzenia świata.

Jeśli zaś oznaczenie roku tyle nastręcza trudności, cóż mówić o miesiącu i dniu? W początkach chrześcijaństwa obchodzono na zachodzie dzień narodzin Jezusa Chrystusa 25. grudnia, na wschodzie obchodzili dzień ten jedni 6 stycznia, inni w kwietniu, inni wreszcie w maju. Z czasem dopiero i to głównie za sprawą św. Jana Chryzostoma, dowodzącego, że w Rzymie, gdzie zostawały księgi spisu z ziemi Judzkiej, łatwiej można było wiedzieć o dniu narodzenia J. Chr. — przyjęto powszechnie dzień 25 grudnia.

Wincenty Badura.

Styczeń.

Przez szerokie pola
Idzie biały duch,
Lekką stopą trąca
Dyamentowy puch;
Bladą skroń okala
Kwiat lodowych róż,
Cichy blask miesiąca,
Idzie za nim tuż...

Owinięty długą
Szatą srebrnej mgły,
Na przesmutnych oczach
Ma zastygłe łzy;
Sunie polną smugą
I cmentarzem łąk,
Po gór pnie się zboczach
Dwojgiem zimnych rąk...

I po całej ziemi
Szuka wszerz i wzdłuż
Tchnących wonią kwiatów,
Skrzących blaskiem zórz;
Snami umarłymi
Próżno łudzi się
I w dalekość światów
Ciche skargi śle...

Idzie głuchą nocą
Obłąkany cień,
Wiedząc, że dla niego
Nie zabłyśnie dzień...
Lany się wyzłocą
I zakwitnie świat,
Gdy po życiu jego
Bóg wygładzi ślad...

Or-ot.





OFIAROWANIE PANA JEZUSA.

Gdy mały Jezus miał 40 dni, przynieśli go Marya i Józef według zakonu Mojżeszowego do kościoła Jerozolimskiego, aby go ofiarowali Panu. Przynieśli też z sobą dwoje gołąbiąt, jako przepisaną prawem dla ubogich ofiarę. Ofiarę spełnił mąż sprawiedliwy i bogobojny imieniem Symeon.

Betleem.

Po hebrajsku Beth — lehem (dom chleba), miasto starożytne w pokoleniu Judy, na południe o 6 mil rzymskich od Jerozolimy odległe i rozpostarte na wzgórzu, rozciągającem się od wschodu na zachód. Niegdyś nosiło ono nazwę Efraty (żyzność), która to nazwa i później się zachowała i zamiast Betlehem Judy, mówiono Bethlehem Efrata, dla odróżnienia od innego Bethlehem, leżącego w pokoleniu Zabulon. Ponieważ z Betleem pochodzi Dawid, zwano je także miastem Dawidowem. Za Roboama ufortyfikowano. Nie mamy o niem wiadomości z późniejszych czasów, wiadomo tylko, że w XIII wieku przed Chrystusem było małą mieściną, lecz miało być uświęconem przyjściem na świat Messyasza. I rzeczywiście N. Marya Panna, edyktem Augusta Cezara, nakazującym popis ludności, zmuszona, udała się z Nazaretu do Betleem, jako pochodząca z familii Dawida. Święty Józef jej towarzyszył. Nie mogąc znaleźć przytułku w żadnym z domów, zniewoleni byli oboje spocząć w grocie, służącej na schronienie trzodom w polach się pasącym. Tam wydała na świat Zbawiciela. Nie ma wątpliwości, że grota ta przez trzy wieki pierwsze dobrze była zachowana w pamięci wiernych. Do zapamiętania jej przyczynił się zresztą Adryan, cesarz, gdy na przekorę Chrześcijanom, na tem samem miejscu, które było czczone, jako uświęcone miejsce Narodzeniem Zbawiciela, postawić kazał świątynię pogańską.

Około 320 roku cesarzowa Helena usunęła ztąd pamiątki pogańskie, a na ich miejscu wzniosła wspaniałą świątynię, którą później cesarz Justynian, wraz z wielu innemi budowlami świętemi naprawił. Od IV wieku stało się Betleem celem pobożnych pielgrzymek z całego świata, miejscem czczonem nawet przez Mahometan, gdyż według podań historyków arabskich nawiedzał to miejsce Kalif Omar, później Abdallah ben Amru posyłał oliwę do lamp, palących się przy grobie Narodzenia.

Niema zaś najmniejszego powątpiewania o tożsamości groty Narodzenia z miejscem, na którem stał kościół.

Krzyżowcy przed zdobyciem Jerozolimy zajęli naprzód Betleem a na ich prośbę Paschalis II Papież w roku 1110 erygował tu biskupstwo, które, zdaje się, nie egzystowało dłużej, jak do końca XIV wieku. Po odejściu Krzyżowców było nieraz Betleem wystawione na najazdy plemion saraceńskich w XIII wieku.

Dziś nazywa się u Arabów Beit-el-Lahm (dom mięsa) i leży o 2 blizko mile nasze od Jerozolimy (2 mile nasze odpowiadają 6 milom rzymskim). Zdaleka przyjemny przedstawia widok; w dole żyzne pola, a na wzgórzu miasto wśród winnic i drzew oliwnych. Lecz, wszedłszy do niego, widać ulice wązkie, brudne, jak zwykle na wschodzie, a wiele



PAN JEZUS DWUNASTOLETNI w KOŚCIELE.
Józef z Maryą znaleźli Pana Jezusa w świątyni Jerozolimskiej w gronie uczonych w piśmie. I zdumiewali się wszyscy, którzy go słuchali, nad rozumem, który pokazywał w pytaniach i odpowiedziach.

mieszkań leży w gruzach, niektóre rodziny mieszczą się w grotach.

Do 1834 r. Turcy mieli tu oddzielną część miasta, lecz wskutek ich buntu, kazał ją zburzyć Ibrahim pasza.

W roku 1848 liczyło Betleem 3,000 dusz, w tej liczbie połowę katolików, 1,000 Greków, 100 Ormian, reszta Arabów.

Kościół, na grocie Narodzenia wystawiony, pod wezwaniem N. Maryi Panny, w formie krzyża łacińskiego. Obszerna nawa z czterema rzędami kolumn jest podzieloną na 6 części. Cały kościół należał niegdyś do łacinników, lecz Grecy zajęli dawny chór i oddzielili murem od nawy, która pozostała przy łacinnikach i Ormianach. W lewem ramieniu owego krzyża mają swe ołtarze Maronici i Koptowie. Na środku kościoła wznosiła się niegdyś wielka srebrna gwiazda z napisem: *Hic de Virgine Maria Jezus Christu natus est.* (Tu z Maryi Dziewicy narodził się Jezus Chrystus.)

W okolicach Betleemu o ćwierć mili na wschód są ruiny kościoła, niegdyś przez św. Helenę postawionego na miejscu, gdzie Anioł zwiastował pasterzom Narodzenie Chrystusa, a nieco dalej klasztor, w którym przebywał św. Paweł. Grota kamienna, w której N. Marya Panna miała się schronić podczas ucieczki do Egiptu, odległą jest o 400 kroków od Betleem w stronie południowo-wschodniej. Niegdyś stał tu średnich rozmiarów kościół św. Mikołaja. O pół mili od północnego zachodu na drodze z Heron do Jerozolimy pokazują grób Racheli. Stoi tam pomnik zwany Kublet-Rahil. Jedna to z miejscowości, gdzie żydzi palestyńscy są prawie jakby u siebie. Starcy nucą tam sobie psalmy Dawida. Kobiety opierając czoło o podmurowania grobu, płaczą. Wszyscy wzdychają głęboko i szczerze. Jęki te są charakterystyczne dla wiary żydowskiej. Idąc tu żydzi, płaczą, jak płakali za czasów, kiedy naród żydowski lamentował pod wierzbami, które stały wzdłuż rzeki Babilonu. Co sobotę cały Izrael udaje się na płacz ku murom po za tyły meczetu Omara, na wprost doliny Józefata. Płaczą przed każdą pamiątką dziejów hebrajskich. Władze tureckie starają się zatamować ruch, który sprowadza tu tłum żydowski.

Z.

Trzej królowie.

Jadą, jadą trzej króle:
Jeden w drogiej szkatule
Ma złoto,
By je złożyć pod nogi
Tej Dziecinie ubogiej
Z ochotą.

Drugi w skrzyni zamczystej
Wiezie bisior srebrzysty,
Szkarłaty,



Ogólny widok Betleem.

I korale na stroje,
I kosztowne zawoje
Na szaty.

A król trzeci z oddali,
Nie ma pereł, korali,
Ni złota;
Toć gdy spojrzy na owych,
Łza mu z oczu surowych
Migota.

On z ziemicy swej starej
Miód przywozi na dary
Z pasieki,
Kołacz z mąki srebrzystej,
Król krainy śnieżystej,
Dalekiej.

Wchodzą władce do chaty,
Z nimi orszak bogaty:
Dworzany;
W proch głowami padają,
Pokłon Panu oddają
Nad pany.

Składa jeden bisiory,
Składa drugi amfory
Dukatów;
Zasie trzeci w pokorze —
Podebrany miód w borze,
Chleb... kwiaty... *ao.*

Święto Trzech Króli

6 stycznia.

W dniu tym święcą księża w kościołach złoto, kadzidło, mirę i kredę; złoto jednakże mało kto do kościoła przynosi. Kredą piszą dotąd na drzwiach pobożni gospodarze głoski: G. M. B., to znaczy Gasper, Melchior, Balcer, tj. imiona Trzech Króli, prosząc Boga o błogosławieństwo. Rusini obrządku unickiego obchodzą w tym dniu święto Jordana; księża w uroczystej procesyi idą do rzeki, jeziora lub studni i święcą wodę. W niektórych ziemiach polskich, a przedewszystkiem na Rusi wilia Trzech Króli zowie się szczodrym wieczorem, gdyż w tym dniu rozdawali i rozdają jeszcze tu i owdzie podarunki. Po wsiach rusińskich chodzą dzieci od domu do domu, śpiewając: „Czy piekliście szczodraczki, bochnaczki? Dajcie i nam, nagrodzi wam Pan Jezus i święty Jan.“ Po obdarzeniu śpiewają: „Niech się wam rodzi pszenica, jak rękawica, a jęczmień tak wielki jak koń.“

Na dworze królewskim w Polsce i u możnych panów obchodzono w uroczystość Trzech Króli święto króla migdałowego. Rozdawano między gości kawałki placka; kto w swym kawałku znalazł migdał lub groch, mianowany był królem migdałowym, za co urządzał zabawę, n. p. kulig, krakowskie wesele lub coś podobnego. Zwyczaj ten przeszedł do Polski z Francyi.

Józef Chociszewski.





Juljusz Kossak. **Atak jazdy polskiej.**

Kilka słów o wojsku polskiem.

(Do illustracyi).

Dziwny na nas wywiera urok polski żołnierz, który się bił za Polskę. Prześladowali nieraz Polacy takich zasłużonych mężów, jak np. Czartoryski, Staszyc, Marcinkowski, Wielopolski, ale wojskowi polscy cieszyli się zawsze zaufaniem rodaków. „Wielki jest urok szabli — pisze St. Tarnowski — a szczęśliwe jeszcze społeczeństwo, które urok ten czuć i ulegać mu umie. Żołnierz dobry, dzięki Bogu, że choć on jeden przynajmniej cześć i dobrą sławę swoją nosi przez całe życie nietkniętą, miłość ludzka do niego się garnie, a wdzięczność względem niego jednego sprawiedliwa, przed nim umie schylić czoła jak należy.“

Lud nasz tak ukochał polskich żołnierzy, że wyobraża sobie, jakoby nie umarli, ale śpią w ziemi, aby się obudzić i stanąć do boju, kiedy Ojczyzna potrzebować będzie ich pomocy Znane są podania o śpiącem wojsku św. Jadwigi w Trzebnicy, o wojsku Bolesława Wielkiego w Tatrach, oraz o żołnierzach w Mątwach niedaleko Kruświcy.

Kogóż nie zachwyci choćby tylko wspomnienie o polskich husarzach z orlemi skrzydłami, którzy w licznych bitwach gromili nieprzyjaciół naszego kraju? Duma godziwa napełnia nasze serca, gdy uprzytomnimy sobie polskie legiony i owych żołnierzy Księstwa Warszawskiego, co się tak dzielnie bili pod Somo-Sierrą i Saragossą, że pewien francuzki grenadyer zawołał na widok ich męztwa: „Wielki Boże! jak to się stać mogło, że Polska zginęła, kiedy wy się tak dzielnie bijecie!“ Sam Napoleon oddawał największe pochwały polskim żołnierzom.

Chlubą Polski było wojsko w Królestwie Kongresowem od 1815 do 1831 r. Takiej dzielnej, dobrze wyćwiczonej i karnej armii nie posiadało żadne państwo w Europie. W pamiętnem powstaniu 1831 roku okryli się niesławą wodzowie, ale nie żołnierze polscy, „owi rycerze bez skazy i trwogi, co zwyciężeni zawiścią losów i błędami tych, którym losy swoje powierzyli, wyszli sami z próby ogniowej czyści na czci, uzacnieni po wszystkie wieki w oczach wszystkich czynami niezrównanej ofiarności i niezrównanego męztwa“ (słowa K. Jarochowskiego).

Dość przejrzeć „Album wojska polskiego z 1831 roku,*) aby się przekonać o iście malowniczej i marsowej postawie bohaterów listopadowego powstania. Widzimy tam, że przeważającą barwą w mundurach wojska, utworzonego przed r. 1831 r. była granatowa i ciemno-zielona. Cała piechota, sztab i ułani nosili mundury granatowe, strzelcy konni i artylerya ubierali się zielono. U piechoty były żółte, u artyleryi czarne wyłogi, u sztabu karmazynowe. Pułki ułanów i strzelców konnych różniły się maścią koni; jeden pułk miał tylko same gniade rumaki, inny kare, siwe jabłkowite itd.

W czasie powstania utworzyło się wiele innych pułków jazdy i piechoty, oraz pojedyńczych oddziałów, a te przybrały nowe mundury. Mianowicie nowe pułki odznaczały się malowniczym strojem n. p. Krakusy imienia Kościuszki z karmazynowemi pięknemi czapkami, dalej legia Wołyńska o białej czapce i niebieskiej z wylotami kurtce, legia nadwiślańska.

Wojsko polskie nietylko broniło naszej ziemi, ale przyczyniało się także do zacierania różnic stanów i szerzenia braterstwa. Chłop, odznaczywszy się w boju, zyskiwał szlachectwo, a w każdym razie szacunek rodaków.

Naszę illustracye przedstawiają „Atak jazdy polskiej“ oraz „Przegląd jazdy polskiej.“

Józef Chociszewski.

*) Album wojska Polskiego z 1831 r. zawierające 12 tablic odręcznie kolorowanych rysunku Jul. Kossaka, W. Eljasza, W. Mottego i innych artystów. Z przedmową K. Jarochowskiego i opisem bitwy pod Iganiami przez E Calliera. Nakładem K. Kozłowskiego. Edycya ozdobna.



Juljusz Kossak. **Przegląd jazdy polskiej.**

PRZED SĄDEM.

(DO ILLUSTRACYI.)

Drobny, wychudły, oczyma jasnemi,
W których łzy wielkie i srebrne wzbierały
I gasły w rzęsach spuszczonych ku ziemi:
Blady, jak nędza, a tak jeszcze mały,
Że mógł rozpłakać się, i wołać: „matko!“
Gdyby miał matkę; i mógł stroić psoty,
I pocałunków żądać, i pieszczoty,
I spać na piersiach ojca; a tak drżący,
Jak ptak wyjęty z gniazda, i już mrący,
Wiejski sierota stał w sądzie przed kratką.

* * *

A dziwna była ta sala sądowa:
Wielka, i pusta, i ciemna, i chłodna,
I bezlitosna, i łez ludzkich głodna,
I nigdy dla nich nie mająca słowa
Miłości bratniej, i taka surowa,
Tak spiskująca ławkami w półkole
Na ludzką nędzę i ludzką niedolę, —
Że Chrystus biały, co stał tam w pobliżu,
Zdawał się cierpieć i drżeć na swym krzyżu.

* * *

Przy winowajcy nie było nikogo...
I któżby bronił dziecięcia nędzarzy?
Chyba te wielkie dwie łzy, co po twarzy
Leciały jakąś pełną iskier drogą;
Chyba dzieciństwo, nędz pełne, sieroty,
I chyba tylko promyczek ten złoty,
Co mu przez okno upadał na głowę,
Jakby Bóg gładził włosy jego płowe.



* * *

Wszedł sędzia, spojrzał i rzekł: „gdzie rodzice?“
„Nieznani“ — odrzekł pan pisarz z powagą.
Chłopiec wzniósł zgasłe, błękitne źrenice,
I ściągnął świtkę na pierś swoją nagą,
Jak gdyby nagle, od jednego słowa,
Zjęło go zimno i pustka grobowa...
Sędzia zadumał się, pochylił czoła
I spytał znowu: „czy w wiosce jest szkoła?“
— „Nie.“ — Pisarz zwykle chmurny był w urzędzie
Przytem — pytanie było jakoś dziwne...
Wahał się chwilę, czy właściwem będzie
Odpowiedź chłopca pisać w protokule;
Więc wyprostował palce swoje sztywne
I bębnił zlekka po szarej bibule.

* * *

A sędzia patrzył na drżącą dziecinę:
Na ręce nagie, wychudłe i sine;
Na pierś zapadłą i nędzne łachmany;
Na blask tych oczu zmącony i szklany,
Gdzie przecież mogły odbić się niebiosy;
Na drobną główkę, gdzie myśl głucho śpiąca
Nie znała świata innego, prócz słońca,
I innych wrażeń ożywczych prócz rosy.
I dziwnym cieniem zaszło mu oblicze.
I w piersi uczuł drżenie tajemnicze,
Jakby ta sala pusta była tronem,
Na którym przyszłość z czołem zachmurzonem
Zasiada, pełna klęsk i spustoszenia...
I jakiemś grzmiącem i ogromnem słowem
Oblicza plony na rolu jałowem,
Przed sąd wzywając całe pokolenia..
I widział jak szły gęste, ciemne tłumy
I tamowały ruch globu w błękicie...
I spostrzegł, pełny trwogi i zadumy,
Że były chmurą ogromną o świcie,
Przez którą przebić się nie mogło słońce,
I zmierzch nad ziemią trwał przez lat tysiące...
Widział, że tłum ten — to siła, stracona
Dla wielkich celów i dążeń ludzkości,
I czytał w groźnem spojrzeniu przyszłości,
Że chce rachunku z miliona...
I ujrzał nagle, że wydziedziczeni
Za społeczeństwa swego cierpią winy
I przerażony — posłyszał w przestrzeni
Sądy — nad sprawą chłopczyny..

* * *

„Niechże was Chrystus — głos mówił — rozsądzi,
Kto więcej winien: czy ten nieświadomy,
Co drogi nie zna i w ciemnościach błądzi?
Czy wy, co grube spisujecie tomy
Karnej ustawy, a nie dbacie o to,
By uczyć dziecię, które jest sierotą...
Niechże was Chrystus sądzi!“
Lecz krzyż czarny
Stał nieruchomy i cichy na stole,
Jako milczące wobec łez ołtarze...
A sędzia powstał, i szedł, gdzie pacholę
Blade czekało na wyrok surowy,
I dotknął ręką jego płowej głowy,
I rzekł: „Pójdź dziecię! ja cię uczyć każę!“

Marya Konopnicka.



ROK NOWY.

Nowelka.

W noc św. Sylwestra położyłem się zziębnięty i trochę rozmarzony, z powodu, że pani Pulcherya Drumdalska, gospodyni domu, w którym witałem rok nowy, za często dolewała mi tokaju...

Byłbym leżał do południa, może nawet i dłużej, do jakiej drugiej, lecz w tem... łomot... łomot...

Śniło mi się właśnie w tej chwili, że jestem w Pekinie, obleganym przez wojska związkowe i że działa morderczo rozwalają odwieczne mury.

Lecz były to złudzenia słuchowe... Ktoś walił pięścią w drzwi moje zapamiętale, zmuszając do spiesznego ich otworzenia.

Wstałem...

W odświętnym kożuchu wszedł stróż domu, w którym mieszkam (nazywam go poufale moim stróżem) i recytował, sypiąc jak z rękawa:

— Zdrowia! szczęścia, złota, brylantów panu, przy tym nowym roku!

Wygłosiwszy to, czekał.

Poczułem, że najpewniejszym środkiem, przyspieszającym powrót do wyziębnionego łóżka, będzie wręczenie talara przybyłemu.

Uczyniłem to i cel został osiągniętym.

Bum!... bum... bum... rozległo się znowu.

Uważałem za właściwe tym razem włożyć odzież, pomimo, iż stara odwieczna gościnność Słowian szumiała mi jeszcze w głowie.

— Któż tam?... zapytałem.

— To ja proszę pana, Walentowa, zdrowia, szczęścia, żoneczki, a przedewszystkiem pieniędzy!

— Ma Walentowa talara — rzekłem dumnie — dla małej na pierniki!

— Bóg zapłać, złoty paniczu, padam do stópek.

Zamknąłem drzwi gwałtownie.

Puk!... puk... puk...

— Któż to?

— To my panie: ja, co panu przynoszę gazety, ja posłaniec, co panu odnoszę listy, ja praczka, ja chłopiec od krawca, ja, co podaję obiady, ja, co odnosiłem rower do naprawy, ja i ja i ja, wszyscy życzymy panu przy nowym roku szczęścia, zdrowia, powodzenia, a przedewszystkiem dużo, dużo, pieniędzy.

Obdzieliłem ich wszystkich, wyszli dziękując.

Pocieszając ochłodzoną głowę, zrobiłem pośpiesznie bilans.

Na Sylwestra pozostało mi po świętach, po różnych wydatkach okrągłe talarów piętnaście, obecnie okrągła marka.

— Ludzie, ludzie i wy mnie przyszliście życzyć dużo, dużo pieniędzy, abym je wam mógł rozdać.

Dziwna wasza filozofia!

— No, ale pocieszam się: wszelkie dobra doczesne chwilowo tylko są w naszem posiadaniu.

— Szczęśliwy jestem, jeżelim dobrze zrobił, dając je więcej potrzebującym.

Jeżelim otarł łzę jaką to szczęście!

Wychodzę na ulicę. Spotykam przepiękną, zaróżowioną od wiatru, kuzyneczkę, Stefkę.

— Życzę ci Stefciu zdrowia, szczęścia, pięknego dobrego i bogatego męża!

— A kuzynkowi czego życzyć?

— Ja sam nie wiem, pragnienia moje się nie ziszczają, a pieniędzy brak zawsze.

— Eh! kuzynek tak zawsze mówi, a niedługo dom kupi.

— Dziś wieczór idziemy do teatru, może kuzynek z nami.

— Dobrze zobaczę!...

Przyszedłszy jednak do domu, zastanowiłem się, że z małym zasobem zdawkowej monety nie sposób sięgać po wielkie aspiracye.

Pozostałem w domu, posłałem niby... na próbę po obiad... potem po kawę z bułką, a puszczając dym z papierosa, łowiłem echo pięknych, dźwięcznych słów, które od lat piętnastu słyszę:

„Życzymy panu szczęścia i dużo, dużo pieniędzy.“

Władysław Karoli.

DYM.

(Nowela.)

Ile razy spojrzała przez okno swej izdebki, tyle razy widzieć go mogła, jak z ogromnego komina fabryki walił słupem. Nieraz nawet umyślnie odrywała od roboty stare swoje oczy, aby rzucić na niego choć jedno spojrzenie. W spojrzeniu tem była dziwna błogość i jakby pieszczota. Ludzie szli i przechodzili, śpiesząc w różne strony, rzadko, który spojrzał w górę w kierunku komina, jeszcze rzadszy zauważył siną smugę dymu. Ale dla niej dym ten miał szczególne znaczenie, mówił do niej, rozumiała go, był w jej oczach niemal żywą istotą.

Kiedy o wczesnym brzasku na opalonem, mieniącem się barwami jutrzni tle nieba, dym rozkłębiał się nad kominem w krągłych, czarnych runach, roznosząc ostrą gryzącą woń sadzy, wiedziała ona, że tam jej Marcyś w kotłowni przy palenisku stoi, ognie zaniecа, smukły, gibki, w granatowej płóciennej bluzie, spiętej skórzanym pasem, w lekkiej furażerce na jasnych włosach, z szeroko odwiniętym u szyi kołnierzem.

— Oho! — szeptała wtedy uśmiechając się — Marcyś „fasuje“...

Istotnie „fasował“. Z gorliwością nowicyusza sypał na palenisko węgiel kosz za koszem, za siebie i za palacza pracując, dumny ze swojej świeżej godności kotłowego. A razem z tym wielkim, jasnym płomieniem wybuchały mu w duszy pieśni, któremi się kotłownia rozlegała od świtu do nocy.

Wkrótce jednak czarne kłębiska dymu bielały, rzadły, stawały się lżejsze, aż wskroś pogodnych błękitów wybiły w górę lekkim, równym słupem.

Ten widok wlewał w serce wdowy radość i pogodę.

— Wszystko dobrze... — szeptała — wszystko dobrze, Bogu Najwyższemu dzięki!

I krzątała się po ubogiej izdebce, zaściełając łóżko swoje i synowski tapczan, zamiatając śmieci starą brzozową miotłą i rozpalając na kominku drewka do południowego posiłku.

Wtedy to wprost wielkiego fabrycznego komina z wspaniałą kitą dymu, wznosiło się w błękity cienkie sinawe pasemko z ponad dachu facyatki, gdzie mieszkała wdowa; pasemko tak wątłe i nikłe, jak tchnienie starych piersi, co je wydobywały z ogniska.

Ale młody kotłowy zawsze to pasemko dostrzegał. A nietylko je dostrzegał, ale się do niego uśmiechał.

Wiedział on dobrze, że tam u komina, stara jego matka w bieluchnym czepeu na głowie, w tołubku przepasanym różowym fartuchem, drobna, zawiędła, zgarbiona szykuje dla niego jakiś barszcz wyśmienity lub wyborny krupnik. Zdawało mu się nawet czasem, że wyraźnie czuje smakowitą woń tych specyałów.

Z podwójnym tedy zapałem dorzucał na palenisko świeżą szuflę węgla i podczas kiedy palacz po głowie się drapał, on stojąc jedną nogą na podmurowaniu, zwinny i giętki, za dwóch nastarczał w robocie.

I tak naprzeciw siebie szły w niebo te dwa oddechy: fabryki i facyatki, niknąc w przejrzystych lazurach, może łącząc się w nich nawet.

Ku południowi dym fabryczny rzedniał nieco; olbrzymie płuca maszyn zwalniały swą pracę, wypuszczone pary przeszywały raz i drugi powietrze ostrym, przykrym świstem, a chłopak, jak huragan do izdebki wpadał.

— Mamo jeść — wołał już od progu, a cisnąwszy furażerkę na stół, biegł do klatki z kosem wiszącej w okienku. Kos, jak tylko chłopaka obaczył, wydał gwizd przeciągły, do fabrycznej świstawki podobny, a potem zaczynał swoje zwykłe kuranty, których go nauczył Marcyś. Chłopak stawał przed klatką, kładł ręce w kieszenie i gwizdał także. Aż się ściany trzęsły od gwizdania tego.

A matka rozpościerała tymczasem na stole piękną, żółtą serwetę, w niebieskie jelenie wyrabianą i stawiała głęboką fajansową wazkę krupniku, barszczu z rurą albo grochówki z wędzonką, albo też zacierki jak tam wypadło. Obok wazki występywał na stół chleb w dużym bochnie, główna tego posiłku podstawa.

Znikał on też prawie w połowie, ledwo się chłopak przysunął do niego. Kawał za kawałem krajał, w miseczce z solą maczał, a precz dogadywał.

— Dobry chleb, mamo!

— Dobry, synku — odpowiadała za każdym razem wdowa. — Jedz z Bogiem, jedz! Na chwałę Panu Jezusowi i Matce Jego Przenajświętszej....

Chłopak nie dawał się prosić, a razem z chlebem znikała i zawartość misy.

— Dobry barszcz, mamo — mówił wtedy.

Matka już od kilku chwil jadła coraz wolniej.

Mięszała łyżką w talerzu, dmuchała w niego. Ale barszczu nie ubywało jakoś. Kiedy więc chłopak wymiótł, co miał przed sobą i wąsiki runiejące wierzchem ręki otarł, pytała skwapliwie:

A możebyś, synku, jeszcze.... Mnie dziś coś nie bardzo jakoś....

Chciała mu dać poznać, że jej nie smakuje, ale bała się wyraźnem kłamstwem Boga obrażać, bo barszcz był doskonały.

— A no — mówił chłopak — kiedy mama nie je....

Podstawiła mu z pośpiechem swój talerz, mówiąc:

— Jedz, dziecko, jedz! Na chwałę Panu Jezusowi....

Chłopak tedy znów się zabierał do łyżki po swojemu.

— Co mama chce od tego barszczu? — pytał. — To królewski barszcz!

— Byłby on, byłby, — odpowiadała, mrugając oczami — tylko że mi do niego bobkowego liścia przybrakło....

Zdarzało się, że nie dojadał.

Zlewała wtedy resztę w glinianą ryneczkę i stawiała w kominku, tak, aby syn nie spostrzegł tego.

Tę resztkę uważała już za wyłączną swoją własność i kiedy chłopak wyszedł, posilała się nią, ogryzając ostatki chleba.

Wszystko to odbywało się z niezmierną szybkością. Młody kotłowy chwilowo zastępowany tylko bywał w południe i spieszyć musiał. Zaledwie zjadł, żegnał się szerokim znakiem krzyża, całował matkę w zapracowaną, wychudłą rękę, chwytał furażerkę, gwizdnąwszy na pożegnanie kosowi, zbiegał w trzech susach z facyatki na dół. Wdowa stawała wtedy w pośrodku izdebki z zebraną ze stołu serwetą w ręku i słuchała grzmiącego tupotu nóg synowskich z trwożnym i błogim zarazem uśmiechem.

— Święty Antoni! — mówiła kręcąc głową — z leceniem takiem! Nogi jeszcze połamie.... schody porozbija....

I stała tak zasłuchana, dopóki nie huknęły na dole drzwi od sionki i nie przebrzmiało echo tej szalonej kanonady nóg młodych i silnych. Wtedy dopiero kończyła składać serwetę, zmywała statki, ogarniała ogień popiołem, a siadłszy u okna, łatała synowską odzież i bieliznę.

Jeśli to było lato, długo jeszcze, bardzo widzieć mogła dym walący z fabrycznego komina. Drugi raz, to się tak zapatrzyła w niego, że i robota wypadła jej z ręki...

Dziwne bo przybierał i kształty i barwy.

Tak jak żelazna gadzina wywijał się sam z własnych przegubów coraz dalej, coraz wyżej; to jak leciuchna zasłona w powietrzu wiał, siejąc przed siebie obłoczki różane, to jak z kadzielnicy prosto w górę szedł, wełniąc się miękko po brzegach; to jak olbrzymi pióropusz pod słońce się palił, z komina, jak z hełmu, za wiatrem wiejąc; to się w jakieś postacie cudne wydłużał; w jakieś mary nieziemskie, jakieś widzenia...

Czasem go wiatr wydymał, jak żagle wielkiego statku; czasem rozrywał, niby kłęby pakuł, czasem pędził, jak tuman czarniawy. A zadżdżyło się na świecie, to chmurą ciężką nad kominem stał i płatami po dachach się wieszał, i tłukł nad ziemią, nie wiedząc, kędy się dziać.

Gdy przyszła zima, zapalała wdowa lampkę u komina i robiła przy niej grube na sprzedaż pończochy. Ale choć od okienka wiało srodze i szron aż do izby załatywał przez spróchniałe ramy, podchodziła do niego coraz, żeby na fabrykę spojrzeć.

Gorzała ona wprost facyatki długim szeregiem oświetlonych okien, huczała wewnętrzną pracą płuc swoich olbrzymich, szczękała żelaztwem, dźwięczała biciem młotów, zgrzytała zębami pił, syczała żądłami topionych metalów. Dym, który teraz na tle głębokiego granitu niebios walił z jej komina, płomienny był, ogniami ziejąc snopy iskier ciskał jak race.

Szerokie łuny od niego skroś n ba szły i het, precz odbijały wielk ciche morze....

Patrzała na nie wdowa w zadumaniu.

Z zadumy tej wyrywało ją gwizdanie kosa, który rozbudzony światłem, bijącem z fabryki w okienko, zaczynał wycinać swoje kuranty. W izdebce robiło się weselej, ogień trzeszczał na kominku, a kos darł się aż do ogłuszenia. A kiedy na niebie księżyc w pełni stanął, całe ono widzenie ogniste topniało w blaskach miesięcznych.

Późnym wieczorem dopiero wrac syn i od progu już znowu wołał:

— Mamo, jeść!.....

A razem z tą młodą, silną postacią wstępowało w progi wesele, śmiech i swoboda. Z mniejszym już teraz pośpiechem posilał się chłopak, opowiadał przez chwilkę to i owo rozpytującej się go o ubiegły dzionek matce, poczem zaczynał szeroko ziewać, przeciągać się, kos nawet nie bawił go ju w takiej chwili.

— Idź spać synku, idź spać! — mówiła matka głaszcząc go po głowie. A to jutro do dnia ci znów trzeba....

— Pójdę, mamo — odpowiada sennym głosem — zmordowałem si tak, że to ha!

— A pacierz synku, zmów — przypominała jeszcze.

— **Zmówię, mamo.**

Całował jej rękę, klękał przed swo- tapczanem i schyliwszy głowę na łożone dłonie, odmawiał szybko półgłosem Ojcze nasz i Zdrowaś, tu i owdzie przerywając modlitwę ziewnięciem, poczem bił się hałaśliwie w piersi, żegnał z rozmachem i zdjąwszy pośpiesznie odzież, rzucał się na twarde posłanie.

Natychmiast też prawie usypiał, a w izdebce słychać było dawno jego równy, głęboki oddech, podczas kiedy matka długo jeszcze szeptała zdrowaśki przed poczerniałem, ze złocistego tła wychylającem się obliczem Panny Najświętszej.

Nareszcie lampka gasła, kos przestawał się trzepotać po klatce, uciszało się wszystko, aby znów jutro o brzasku się zbudzić.

Z tem budzeniem była zawsze biela. Wdowa sypiała tym snem starości krótkim, czujnym, jakby oszczędzającym godzin życia przed wielkiem zaśnięciem w mogile.

Ze snu tego budziła się po drugich urach zaraz, na długo przed pierwszą wizdawką fabryczną i zwlókłszy się pościeli, dreptała po izdebce, szyku- polewkę dla syna i szepcąc godzin- W okienku stała wtedy wielka i ci- gwiazda zaranna, wprost na twarz ionego chłopca świecąca. Matka z to na twarz tę powiodła oczyma. dałaby już zbudziła jedynaka swego, ale głębokie uśpienie chłopca wstrzymywało ją.

— Niech ta! — szeptała półgłosem. iech ta jeszcze ździebluchno pośpi....

Dopiero kiedy się rozległ przeraźliwy świst puszczonej pary, wołała na chłopca:

— Marcyś! A!.... Marcyś! Wstawaj, synku! gwiżdżą.....

Chłopak odwrócił głowę do ściany.

— To kos, mamo.... — mówił wpół- zytomnie.

— Ale! kos tam! We fabryce gwi- dają synku, nie kos!

Przeciągał się, nakrywał na głowę, mruczał, ale matka nie ustępowała. ocny dyżur się kończył, kotłowy na swojem miejscu pierwszy stanąć musiał przed robotnikiem jeszcze. Powtarzało się to cały tydzień boży.

Ale jednego razu, kawał jeszcze do- nka było, chłopak się z krzykiem snu porwał sam i na pościeli siadł. Matka już była przy nim.

— Co to? Co ci, synku, co? — py- ła troskliwie.

Nie odpowiadał. Patrzył na nią eroko otwartemi oczyma, usta miał rżące, czoło w zimnym pocie. Rozęta na piersiach koszula podnosiła od mocnych, głośnych prawie udeń serca.

Objęła go ramionami matka.

— Co ci to, synku, co ci to! — pytała tuląc chłopaka, jakby małe dziecko.

— Nic, mamo — przemówił nareszcie z widocznym wysiłkiem — nic.... Tylko, śniło mi się, że piorun uderzył we mnie.

Wdowa cierpiała. Ale nie dała tego poznać po sobie synowi. Chciała przemówić, głos uwiązł jej w piersi.

Chłopak siedział na tapczanie sztywny, prosty; patrząc przed siebie wystraszonym wzrokiem.

— Piorun mamo — mówił cichym, urywanym głosem — taki czerwony, straszny jak... Na piersi mi padł, mamo.... taki straszny.... czerwony.

Umilkł i dyszał głośno.

Wdowa opanowała się jakoś.

— Co tam synku! — mówiła głaszcząc go po rozpalonym policzku. — Co tam?.... Sen mara, Bóg wiara. Co tam, synku?

A gdy chłopcu głośno zaszczękały zęby, przysiadła przy nim, przycisnęła głowę jego do swych wyschłych piersi, i tak go kołysała, jak kiedy niemowlęciem był.

Chłopak się ukoił, utulił wreszcie i na poduszkę opadł.

— Niech mama już idzie — rzekł — niech mama idzie, położy się. Ja usnę.

Ale nie usnął. Leżał na wznak z otwartemi szeroko oczyma, wpatrzony w gasnące na wschód nieba gwiazdy.

Spojrzała na niego raz i drugi.

— A czemu nie śpisz synku? spytała.

— Nie mogę mamo — odpowiedział cicho, skarżącym się głosem.

Podeszła i usiadła przy nim.

— Nic się nie trap, synku przemówiła. — Nic się nie trap! Albo to na to ten Pan Bóg miłosierny pioruny w niebie chowa, żeby zaś niemi wdowie niebogiej jedynego synaczka ubijać? Nie do tego pan Jezus i ta Matka Przenajświętsza... A ja ci to powiem, że piorun wesoło znamionuje, kiedy się kawalerowi, albo pannie śni. Ot co, widzisz, piorun znamionuje — Przecie sennik mam, to wiem.

Mówiła to z uśmiechem, wesoło niemal, ręką wyschłą po czole jego wodząc i włosy mu gładząc, aż chłopak dobrej myśli począł być i też się uśmiechnął.

— To mama mówi, że wesele? spytał.

— A przecie, że nie co! Wesele, huczne wesele....

Zamyślił się chłopiec, a po chwili rzekł:

— To ja już wstanę, mamo...

— Wstań synku wstań. Zgotuję śniadanie, jak przejesz, to cię to odejdzie.

Jakoż odeszło. Weselej nawet było tego ranka, niż zwykle w izdebce, bo chłopak czasu dość mając, jedną po drugiej piosenkę na wyścigi z kosem gwizdał, aż ptaszysko zachrypło i kiedy przyszło do piosenki o Zosi, co jej się chciało jagódek, gwizdało tak żałośnie, jakby kto przez nos śpiewał. Uśmiał się Marcyś, uśmiała się matka, i tak się w radości rozstali. Kiedy wyszedł wdowa stanęła przy drzwiach i nasłuchiwała oddalających się kroków. Lekkie były, raźne, swobodne, zwyczajnie młode nogi.

Nawet spaczone i spróchniałe schody nie skrzypiały dziś tak, jak zazwyczaj. Dopiero kiedy chłopak drzwi za sobą zatrzasnął, rzuciło się w niej serce jakimś nagłym strachem, tak łoskot ich był głuchy, podziemny i takiem przeraźliwem echem odbił się w pustych sieniach. Podbiegła do okienka, aby wyjrzeć za synem.

Szedł lekko, śpiesznie, z podniesioną głową, a kiedy miał już przejść furtę w fabrycznym murze, odwrócił się i spojrzał w górę. Może w okienko, a może tak sobie....

W chwilę później gęsty, czarny dym walił z fabrycznego komina.

Godziny upływały. W schludnie oprzątniętej izdebce zrobiło się cicho; stary zegar z jaskrawą różą na pożółkłej tarczy cykał opieszale na ścianie, kos próbował najweselszych kurantów, pociesznie walcząc ze swym ochrypłym głosem, a wdowa, może z myślą o owym śnie syna, co to wesele znamionował, przeglądała swe odświętne odzieże.

Naraz rozległ się huk straszliwy. Zatrzęsły się ściany, posypał gruz z komina. Okienko z szczękiem wypadło. Wielki, iskrzasty słup dymu buchnął w niebo razem z fontanną cegieł i wielkimi odłamami rozwalonego komina, wypełniając izbę przeraźliwym blaskiem. Wdowa jak stała, tak skamieniała słupem. Ani jednego krzyku nie wydały jej zmartwiałe usta. Tylko się siwe włosy podniosły nad czołem, tylko rozszerzone zbielały jakby u trupa, nagłą jakąś zgrozą....

Może nawet nie słyszała dzikiego wrzasku, jaki bił z ulicy:

— Kotłowy!.... kotłowy zabity!

. . . .

Długie jeszcze potem lata siadywała w tem samem okienku, patrząc osowiałym, mętnym wzrokiem na fabryczny komin, z którego biły w górę sine słupy dymu.

Dym ten wszakże nie przybierał już teraz dawnych rozlicznych kształ-

tów, tylko zawsze zamieniał się w mglistą postać jej drogiego chłopca. Zrywała się wtedy ze stołka i wyciągała drżące wyschłe ręce. Ale mglistą postać z dymu wiatr unosił i rozwiewał ją gdzieś w błękitach.

M. Konopnicka.

Z TEATRU.

Zwycięzca

Dramat w czterech aktach Maksa Dreyera, przekład Zofii Wojcickiej.

Dyrekcya teatru w wzmiankach dziennikarskich zapewniała tak mocno, że „Zwycięzca“ uznany przez krytykę niemiecką za rzecz niepospolitą, i u nas dozna dobrego przyjęcia, jakby chciała suggestyonować publiczności swe zdanie, w zanadrzu kryjąc pewne wątpliwości, czy sztuka Dreyera odpowie smakowi i upodobaniom zwykłych gości teatru poznańskiego. Jeżeli się w tem przypuszczeniu nie mylę, obawy dyrekcyi były całkiem uzasadnione, bo „Zwycięzca,“ sztuka poważnego pokroju, może liczyć u nas tylko na *succès d'estime*, na uznanie — bez oklasków.

Na tle krajobrazu morskiego zarysowuje autor kontury postaci dramatu a w akcie drugim zanurza się w duszę artysty-rzeźbiarza, wysnuwa z niej nić dramatyczną i rozwija przed nami proces duchowy tem ciekawszy, że powtarzający się u wszystkich talentów średniej miary, u wszystkich osobników niesamoistnych, nie dość silną wyposażonych indywidualnością.

Autor połączył węzłem małżeńskim rzeźbiarza Heinza Brinkera i Hertę Looks, dwie pod względem duchowego ustroju odmienne istoty. Herta, córa morza, od której wieje urok statuy greckiej, prostej w liniach i klasycznie pięknej, jest dla syna cywilizowanego środowiska zjawiskiem uroczem. W duchu Heinz korzy się przed nią, wyczuwając instynktownie jej wyższość i jakkolwiek płonie do niej miłością, zrodzoną z podziwu, nie przestaje nigdy odczuwać przepaści, dzielącej ich istoty i dążyć do pognębienia jej dominującej indywidualności. W męzkiej swej dumie pragnie wznieść się po nad nią, przyćmić ją i boleje, widząc w niej swą moralną i materyalną podporę, szarpie się i szamoce w duszy, dotknięty w swej miłości własnej.

Egomania stanowi podkład charakteru Heinza, monomania, skierowana na zdobycie laurów — kamerton jego duszy a połowiczność jest jej chorobą. W środowisku czysto artystycznem, przy boku Herty i przyjaciół, pielęgnujących ideał sztuki niezawisłej, Heinz pnie się na szczyty, z których z pogardą można spozierać na tłum, oklaskujący dzieła przykrojone do skali przeciętnego umysłu. Lecz toczy go robaczek wątpliwości we własny talent, wiara w siły zanika chwilami, skrzydła mu opadają wobec potęgi talentu żony. Zazdrość słabszego i upokorzonego artysty wpija się w jego serce, ściera się z miłością, przeżera ją, zabija. W dwoistej jego naturze wre teraz walka pomiędzy artystą a filistrem i, gdy sfery dworskie wyrażają życzenie, by wykonał pomnik księcia krwi, otwierają mu wrota do orderów i zaszczytów, Brinker — pada, podejmuje się pracy, wchodzi w kompromis z prozą życia, wyzbywa się aspiracyi czysto artystycznych, zaprzedaje swą duszę, zapiera się szlachetniejszej cząstki swego ja.

Do tej chwili przełomowej Herta stoi wiernie przy jego boku – niezłomna, szumem morza i powagą przyrody wyniańczona, niby z jednej bryły granitu wykuta postać, silna poczuciem długo nieuświadomionego potężnego talentu. Dopóki wierzy w idealną naturę Heinza, poddaje się jego supremacyi, stłumia w sobie naturalny popęd do twórczości, nawet niszczy piękne dzieła swych rąk, pozostając poprostu żoną i kobietą. Atoli upadek moralny Heinza spowodowuje rozbrat. Gaśnie w niej promień miłości, rozprzęgają się pęta względów na Heinza, człowiek-artysta wyzwala się w niej i Herta odpycha męża od siebie. Teraz chwyta się oburącz rzeźby i wyjeżdża na rodzinną wyspę z dzieckiem, by tam dalej pracować, piąć się na wyżyny.

W chwili rozstania powrotna fala uczucia ogarnia Heinza, który stara się przykuć żonę do siebie perspektywą zbytków, lecz Herta nie odnajduje w piersi ani jednego odbłysku dawnej miłości i żegna go bez cienia nadziei. Heinz zostaje z orderem u fraka, uznaniem galeryi i możnych tego świata — „zwycięzca!“ Świat bije mu pokłony, bo doszedł do szczytu marzeń pospolitych zjadaczy chleba, zdobył fortunę i stanowisko, a tymczasem ów „zwycięzca“ czuje się nieszczęśliwym, małym, przybitym do ziemskiego błota poczuciem swego moralnego upadku...

Stany duszy artysty i ewolucyą duchową śledzimy z zajęciem, dramaturg bowiem delikatnie i umiejętnie rozwikłał przed nami problemat psychiczny. Natomiast zimną pozostawia nas Herta, będąc postacią nieziemską, li tylko wcieleniem idei, piękną statuą grecką — ideałem artystycznej duszy. Herta i inne postacie spełniają w dramacie funkcye satelitów, obracających się około bohatera, dlatego autor przykroił je tak jak trzeba mu było do osiągnięcia celu. Jakoż interes od początku do końca skupia się na osobie bohatera.

Aczkolwiek Dreyer należy do grona modernistów wiedeńskich, nie posiada charakterystycznych cech tychże, nie olśniewa błyskotliwą dyalektyką Schnitzlera ani nie uderza w sceptyczną strunę. Przyjął on od nich wybitnie psychologiczny kierunek i filozoficzny światopogląd, zresztą zaś stoi na gruncie idealistów niemieckich, a ponury, poważny koloryt zbliża jego dramat do literatury skandynawskiej. Scenki pomiędzy poczciwym Pruessem a Looksem oraz niedźwiedzia gburowata osoba Hammerschmidta rozjaśniają nieco półmrok, w jakim nurza się dramat.

Akt pierwszy wydaje się niepotrzebnym. Jest to wdzięczny obrazek rodzajowy na tle morza, który dla dramatu posiada tylko tę wartość, że zapoznajemy się w nim z ustroniem i naturą, wśród której ukształtował się granitowy charakter Herty i przez to rozumiemy ją lepiej. Po za tem — nic. W robocie znać rękę ostrożną, sumienną, ale ciężką.

Powodzenie „Zwycięzcy“ zawisło od wykonania roli bohatera dramatu, który p. Stradiot, widocznie świadom wielkości swego zadania, wystudyował sumiennie, con amore, i odegrał tak, iż kreacyi rzeźbiarza Brinkera można mu powinszować. Wcielił się w tę postać, przejął nerwową naturą artysty, uwydatnił i uwypuklił walkę wewnętrzną konsekwentnie. Wprawdzie niekiedy p. Stradiot winien być wybredniejszym w wyborze środków artystycznych, a więc nie posługiwać się szablonowemi sposobami aktorskiemi, innemi słowy dążyć do oryginalności i kreować śmielej, przez co postać Brinkera zyskałaby na prawdzie, nadto zewnętrznym układem uduchomić więcej bohatera, wszelako dzięki grze jego sztuka ta posiada racyą bytu na naszej scenie.

Panna Podgórska nigdy nie zawodzi, więc i jej Herta zadowoliła audytoryum. Atoli rola Herty wymaga od aktorki ogromnej intensywności, której brak uderzał nas w niektórych momentach. I tak, gdy łódź uwozi ukochanego, nie czytamy na obliczu Herty całego uczucia, które zawładnęło odrazu sercem dziewczyny. Blado wypadła chwila rozłączenia z mężem. Obojętność, z jaką Herta żegna męża, była obojętnością osoby, dla której rzeźbiarz nie był nigdy niczem, tymczasem należałoby za

znaczyć odpowiednią intonacyą, że poza nimi leży przeszłość, w której tworzyli jedno ciało i jedną duszę. Natomiast w scenę przełomu panna P. wlała dużo siły. W momentach lirycznych panna P. sili się na teatralną dźwięczność głosu, która wprawdzie podoba się u nas, lecz nie zyskała-by bodaj pochwały wszędzie.

Pan Poleński był doskonałym profesorem Hammerschmidtem, gburowatym Niemcem w każdym calu, a p. Andruszewski nie mniej doskonałym radzcą dworu, dystyngowanym, arystokratycznym; pp. Czerniak, Turski, oraz pani Królikowska wywiązali się z swych rol dobrze. P. Sowiński ma niemiły głos i zachowuje się na scenie bezbarwnie i biernie. Pani Sowińska posiada przywary aktorek trup wędrownych. Nie ma w jej grze nic naturalności, pani S. robi właścicielkę salonu sztuki, szastaniem się markując lekkoducha.

Wogóle „Zwycięzcę“ odegrano bardzo starannie.

* * *

Wilhelm Tell.

Tragedya w 5 aktach Fr. Schillera.

Koturnowa tragedya Schillera z epoki walk Szwajcarów o niepodległość dzięki osnowie oraz poetyckim zaletom może wywierać podniosłe wrażenie nawet na dzisiejszych realizmem zmrożonych widzach, jeżeli scena posiada do swej dyspozycyi grono artystów wyszkolonych na wzorach klasycznych, zdolnych oddać cały patos, cały młodzieńczy podniebny, polot szylerowskiego pióra. Aczkolwiek jednak teatr nasz sił takich nie posiada, wystawienie Wilhelma Tella ma cel dydaktyczny i klasyczny dramat natchniony ideą wolności stanowi efektowny spektakl, który niezawodnie zwabi tłumy widzów do naszego teatru.

Wpośród grona aktorów, którzy brali udział w Wilhelmie Tellu“, wyróżnił się znakomicie pan Ryger jako aktor dawnej szkoły deklamacyjnej, posiadający odnośne warunki i obyty z klasycznemi kreacyami. Jako Melchthal był wieśniakiem w każdym calu a wybuch jego rozpaczy na wieść o nieszczęściu, jakie dotknęło ojca, poruszył widzów do głębi. Sędziwy Werner miał doskonałego przedstawiciela w panu Czerniaku, który z przejęciem oddał swą rolę i w chwili zgonu był przejmującym. P. Andruszewski w roli tytułowej nie zupełnie odpowiedział oczekiwaniom, nie dostroiwszy się dostatecznie do roli o wysokiem heroicznem napięciu. Wprawdzie p. A. posiada dźwięczny barytonowy organ o nutach bohaterskich, tak, iż nadaje się doskonale do kreacyi Wilhelma Tella, lecz nie zużytkował go należycie, mówiąc raz za szybko, to znowu monotonnie, co przypisujemy brakowi rutyny. W scenie z Gesslerem p. A. winien zwracać się z odpowiedziami raczej do publiczności a nie wyłącznie do Gesslera, gdyż są one obliczone na efekt. W słynnym monologu nie drgała w piersi strzelca dość potężna struna nienawiści i determinacyi. Chociaż przeto p. A. stworzył sympatycznego, zanadto może w ruchach i wyglądzie eleganckiego Tella, nie rozniecił zapału, nie porwał słuchaczy na wyżyny patryotyzmu, jak było można się spodziewać po utalentowanym, wiele obiecującym aktorze. Pominąwszy że wogóle personał naszego teatru nie przywykł do rol deklamacyjnych, pp. Turski, Poleński, Prochaska, Stradiot, Dybizbański i inni wywiązali się dobrze z swego zadania z wyjątkiem pana Wiślańskiego który jako Ulryk Rudenz pozostawił niejedno do życzenia. Role kobiece nie przedstawiające pola do popisu, spoczywały w rękach panien Podgórskiej, Grabowskiej, pani Królikowskiej i Sznagowej, która ze względu na swą dykcyą była nieodpowiednią Bertą. Panna Zielińska w stroju chłopięcym młodego Tella swym dziecięcym wdziękiem i szczerością zaskarbiła sobie uznanie. Panna Micińska w roli syna rybaka nie uwydatniła deklamacyą piękności pieśni, jaką rozpoczyna się sztuka.

Szczególne znaczenie posiadają tu ensemble. W scenie śmierci Gesslera zbiegowisko ludu było dobrze inscenizowane, odpowiednie wrażenie wywarła też przysięga trzech spiskowców: Melchthala, Waltera i Stauffachera, natomiast słabo wypadła narada na Uri. Każdy z posłów winien czuć się niejako mówcą na trybunie i ciskać w audytoryum wielkie słowa, jakie włożył im w usta poeta, tymczasem aktorzy nie deklamowali, lecz mówili i to za szybko tak, iż szumne zwroty i sentencye przebrzmiewały mimo uszu i scena ta nie olśniła wielkim fajerwerkiem uczuć patryotycznych

Wiele usterek da się z pewnością zatrzeć przy następnych przedstawieniach.

Roman Rola.



* * * * * * * * * * * * * * *

Malowniczy opis Wielkopolski

przerwany od dłuższego czasu z różnych powodów, a połączony z niemałemi trudnościami technicznemi, zamieszczać rozpoczniemy w dalszym ciągu w najbliższym czasie.

* * * * * * * * * * * * * * *

Nadzwyczajne

premium

dla prenumeratorów „PRACY.“

Do numeru niniejszego dołączamy piękny podarek bezpłatny, mianowicie artystycznie wykonane w słynnej drukarni A. L. Anczyca i S-ki w Krakowie kolorowe illustracye Męciny-Krzesza, obrazujące sceny z książeczki Władysława Bełzy p. t. „Katechizm polskiego dziecka“ i to sceny następujące: „Legenda o garści ziemi polskiej“ oraz „Pracowity Jezus.“ Do ka-

żdego numeru „Pracy" dołączona jest jedna z powyżej wzmiankowanych illustracyi tak, iż jedni abonenci dostają „Legendę o garści ziemi polskiej" a drudzy „Pracowitego Jezusa."

Kto z nowych abonentów życzy sobie mieć początek drukującej się powieści „Męczennica w koronie" niech nam nadeśle na dowód, że zapisał sobie „Pracę", kwit pocztowy abonamentowy z dołączeniem 30 fenygów w znaczkach pocztowych, gdyż tylko pod tym warunkiem początek powieści wysyłamy.

Każdy ze starych abonentów, który zjedna nowego abonenta, otrzyma jako

premium

piękną książkę powieściową, jeżeli nam nadeśle na dowód własny kwit abonamentowy pocztowy, oraz kwit zjednanego abonenta.

Jeszcze wciąż można zapisywać

„Czytelnię Polską"

na nowy rok i kwartał,

gdyż każda poczta jest zobowiązana dostarczyć nowym abonentom zaległe zeszyty z bieżącego kwartału.

„CZYTELNIA POLSKA" zapisaną jest na poczcie w spisie gazet na rok 1902 pod rubryką: „Abtheilung II t. poln. 13."

Abonament „CZYTELNI POLSKIEJ" wynosi kwartalnie

60 FEN.

W Austryi i wogóle w Austro-Węgrzech

97 HAL.

Pod opaską: kwartalnie 1,10 mk., czyli 1 koronę 23 hal.

W 49-tym zeszycie „CZYTELNI POLSKIEJ"

rozpoczęliśmy bardzo piękną historyczną i patryotyczną powieść z końca XVIII wieku, skreśloną przez B. Bolesławitę p. tyt.

„BEZIMIENNA".

Powieść osnuta jest na tle wypadków 1794-go roku, na tle obrazu Królestwa Kongresowego, mianowicie Warszawy, w przeddzień wiosny wzmiankowanego roku, obrazu tak niezwyczajnego, jakiego nie pamiętali najstarsi ludzie, bo może też nigdy despotyzm moskiewski nie ciężył srożej nad Polską. W imię wolności wywożono na Sybir, z pod boku króla porywano ludzi, zabierano senatorów, ginęli gdzieś bez wieści urzędnicy, posłowie, obywatele... To wszystko doprowadziło do wybuchu, — naród powstał przeciw Moskalowi... Na takiem tle napisana jest powieść

„Bezimienna,"

której główną bohaterką jest córka biednej wdowy, piękna Helena; na cześć jej niewieścią czyha podły Rosyanin, jenerał Puzonow.

Powieść jest bardzo zajmująca, rozczulająca i owiana prawdziwą miłością naszej nieszczęśliwej Ojczyzny.

Początek tej powieści otrzyma każdy nowo przybyły abonent gratis, jeżeli nam nadeśle na dowód kwit pocztowy abonamentowy.

Kwity pocztowe na „Pracę" i „Czytelnię" załączamy na osobnej i to pierwszej stronie pod okładką.

Do dzisiejszego numeru „Pracy" dołączamy pięknie i artystycznie wykonaną

pocztówkę

z powinszowaniem Nowego Roku.

Czytelnicy! Posługujcie się dołączoną kartą, wysyłając takową znajomym lub krewnym z gorącą zachętą ku licznemu abonowaniu „Pracy". — Niech się Czytelnicy zajmą szczerze losem „Pracy" niech poprą pismo nasze w kole przyjaciół, niech podczas święta Trzech Króli — każdy z nich stara się pozyskać choćby jednego abonenta dla „Pracy", której redaktorzy na lata całe w więzieniu... Niech liczny wzrost abonentów „Pracy", na którą mianowicie urzędnicy poczty tacy niełaskawi — niech liczny zastęp czytelników „Pracy„ da dowód, że sprawa polska żyje, że społeczeństwo nasze, że każda jednostka polska dziś zdrowo myśli i działa...

Abonujcie „Pracę"!

Wiadomości.

— Manuskryptów nie zwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.

Redakcya i wydawnictwo „PRACY."

— **Wieś rycerska Wielkie** pod Poznaniem, który to majątek nabyła świeżo firma *Drwęski i Langner* z Poznania, w części już odprzedana; główny folwark bowiem, w obszarze 800 mórg włącznie 90 mórg jeziora wraz z okazałym dworem, nabył rodak nasz p. Wojciech Muth, ogólnie znany i szanowany obywatel z Jeżyc pod Poznaniem, z których to rąk kolonizacya Wielkiego już nie wyrwie. Z pozostałej reszty Wielkiego utworzone będą gospodarstwa, a coby jeszcze pozostało, przyrzekł nabyć p. Pluciński, dziedzic Swadzimia.

— **Pierwszą** poznańską szkołę fachową artystyczno-dekoracyjną dla branży bławatnej itp. otworzył z dniem 1-go stycznia r. b. w mieście naszem p. M. Nowicki, dawniejszy główny dekorator pierwszorzędnych domów w Niemczech i zagranicą. Program nauki dzieli się na dwa kursa. Specyalny kurs dla pań. Bezpłatne pośrednictwo w uzyskaniu miejsc. Odnośne ogłoszenie znajduje się w numerze gwiazdkowym.

— **Dla 90-letniego** weterana, Belwederczyka Maksymiliana Kosińskiego otrzymaliśmy w dalszym ciągu od pp. J. B. z L... sen 3 M., Teodora Joachina z Bublitz 3... Razem złożono dotąd na ten cel 38 M. 25 fen. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

— **Lampki elektryczne**, bardzo praktyczne i niezbędne w każdym domu, w każdem gospodarstwie najnowszy i najnowszy wynalazek — poleca *drogerya „Universum", właściciel p. B. Śniegocki* przy ulicy Rycerskiej (w w domu wydawnictwa „Pracy"). Cena tych lampek jest tania. (Patrz ogłoszenie).

— **Express**, znany interes spedycyjny przy ulicy św. Marcina, własność od kilku miesięcy pani Wandy z Chrzanowskich Kuczkowskiej, będący pod kierunkiem jej męża, p. Seweryna Kuczkowskiego, uczone go kupca i spedytora, stosunkowo w krótkim czasie tak się zreorganizował, że wszelkim wymaganiom Szanownej Publiczności, mianowicie pp. kupcom i przemysłowcom zadość uczynić może.

— **Osiadł** w Toruniu *dr. med. Alfred Działowski*, specyalista w chorobach o... nych, dotychczasowy asystent radzcy ... dra Wicherkiewicza w Krakowie. Na ... zwracamy uwagę Czytelnikom naszym, m... nowicie z okolicy Torunia, Inowrocławia i Grudziądza.

— **Lubcz pod Rogowem.** Na budowanie spalonego kościoła w Lub... nadesłali w dalszym ciągu: Za po...

…twem „Dzie… …oz." 1… mk., p. J. Kaczmarek z Napoleonowa zebr. na weselu … mk., p. O Dąbrowski z Lubcza zebr. na weselu 17 mk., p. Pągowski z Biernatek … mk., p. Jasiński z Mogilna 5 mk., p. …uchcinski z Mięcierzyna 2 mk, p. Fr. Pieczyńska z Gniezna 1 mk., p. R. Koczorowska z Mięcierzyna 3 mk., p. W. Liskowska z Mięcierzyna 3 mk., p. J. Dąbrowski z Lubcza 3 mk., p. M. Janowski z Lubcza 1 mk., p. H. Tilgner z Miejskiej Górki 3 mk., p. Z. Dutkiewicz ze Śremu 1 mk., p. J. Pietras z Brzyskorzystwi 3 mk., X. prob. Kolasiński z Poznania od pewnej osoby 6 mk., na weselu p. Rychlewskiego w Ryszewku 25,38 mk., p. L. Woźniak z Cotonia 3 mk., p. A. Nowacki, organista z Gąsawy 3 mk., p. Maciejewski z Oćwieki 1,50 mk., p. Tomasz Adamski z Szelejewa 15 mk., p. W Olejniczak z N. 1,90 mk., p. St. Krakowski z Koronowa 20,20 mk., na złotem weselu p. Macieja i Zofii Gościńskich w Łopiennie 4 mk., p. J. Czajkowska z Jarocina 3 mk.. X. dziekan A. Obst z Potarzycy 50 mk.

Składając serdeczne „Bóg zapłać!", proszę o dalszą pamięć łaskawą

X. Czerwiński.

— **Lubawa.** Pan Zelma z Nowego miasta kupił i przejął świeżo na własność od Niemca, p. Kaminskiego ztąd, majątek położony przy Lubawie 350 mórg i zamierza go swoim odprzedać lub pomiędzy swoich rozparcelować. Pan Zelma wykupił już 6ty majątek z rąk niemieckich.

† **Bruckhausen n. R.** Dnia 11-go z. m. pochowaliśmy na cmentarzu w Gelsenkirchen dzielnego wiarusa, gorącego patryotę, śp. Jana Pospiecha. Zmarły pochodził z Wodzisławia w powiecie Rybnickim na Górnym Śląsku i zajmował się tutaj na obczyźnie gorliwie wszelkiemi naszemi sprawami. Między innemi był członkiem Komitetu wyborczego na okręg Gelsenkirchen, oraz założycielem i członkiem kilku naszych Towarzystw; był także po dwakroć przewodniczącym Towarzystwa św. Stanisława w Schalke. Liczni członkowie wielu Towarzystw wzięli udział w pogrzebie. Cześć Jego pamięci, spokój Jego duszy!

— **Monachium.** Tutejsze Towarzystwo pracujących Polaków urządziło dnia 29-go listopada z. r. doroczną uroczystość rocznicy listopadowej na małaj sali Wittelsbachergarten przy licznym udziale publiczności polskiej. Był odczyt, były śpiewy, …macye, była też muzyka, w ogóle program był obfity i na wskroś patryotyczny. Wszystkie numery pięknego programu przyjmowano z entuzyazmem i licznie oklaskiwano.

Zmarli.

S. p. ksiądz Jan Kanty Rymarowicz, proboszcz w Kiekrzu, dnia 19 z m.

S. p. ksiądz dziekan emerytowany Ertmann, pleban kwieciszewski, w Kwieciszewie dnia …9 z. m.

S. p. ksiądz prałat Juliusz Kulesza, proboszcz i dziekan miłosławski, rzeczywisty …jny szambelan Ojca św., dnia 20 z. m. … Miłosławiu.

S. p. Wincenty Chrzanowski w 66 roku … dnia 21 z. m. w Poznaniu.

S. p Władysław Kaweczyński, właściciel …r Linowca, dnia 21 z. m. przeżywszy …39.

…domości literackie.

Zaszczytnie znana firma wydawnicza we Lwowie: **Księgarnia Polska** (Bernarda Połonieckiego) opublikowała w tym sezonie wydawniczym jak w inne lata szereg cennych, starannie drukowanych dzieł z różnych dziedzin wiedzy i literatury. I tak pomiędzy niemi znajdujemy dwa gustownie wydane tomy naszego wielkopolskiego poety *Jana Kasprowicza:* „Salve Regina" i „Moja pieśń wieczorna." — Ta ostatnia książka jest ozdobiona znakomitą podobizną poety według pięknego portretu tegoż. Utwory te zrobiły wielkie wrażenie pomiędzy znawcami poezyi. Z literatury powieściowej dała Księgarnia Polska powieść Zapolskiej: „Jak tęcza", dalej Rapsody Napoleońskie" (z illustracyami) pióra W. Gąsiorowskiego, oraz oryginalną z wybitnym talentem napisaną powieść psychologiczną L. Stasika: „Pieniądz." Nadto podnieść należy studyum Pressera o głośnym Stan. Przybyszewskim. Żywą polemikę we Lwowie wywołała broszura Kuliszyńskiego p. t. „Współczesne prądy", która dla nas nie jest pozbawioną interesu. Hojnackiego popularnie skreślona rzecz p. t. „Hygiena kobiety" powinna znaleźć się w rękach matek i wychowawczyń jako dzieło nader instryнktywne. Wreszcie podkreślić trzeba dzieło wytrawnego pisarza Olszewskiego p. t. „Biurokracya."

— **„Ruch chrześciańsko społeczny"**, dwutygodnik poświęcony sprawom społecznym i gospodarczym, wychodzi w Poznaniu od 1-go października r. z.

Dwutygodnik ten zamieszcza dobrze opracowane artykuły i wykłady dla Towarzystw naszych i jest prawdziwym doradzcą i pomocnikiem w kierowaniu Towarzystw ludowych, robotników, rzemieślników, czeladzi, terminatorów — w prowadzeniu bractw kościelnych — daje wskazówki, potrzebne do zrozumienia tak ważnych spraw, jakiemi są związki zawodowe, Spółki, Towarzystwa robotników, czeladzi, sądy procederowe i t. d. W każdym numerze donosi „Ruch" o działaniu i zamysłach socyalistów, przytacza najciekawsze ustępy z gazet socyalistycznych.

Treść zeszytu 6 jest następująca: Zaproszenie do przedpłaty. X. patron Wawrzyniak: Komu przysługuje prawo. X. St. Adamski: Kupiectwo mniejsze wobec spółek spożywczych i towarzystw zawodowych. Bractwo matek chrześciańskich. Kursa socyalne dla robotników. Z ruchu socyalistycznego. Bibliografia. Materyał do wykładów i nauk: Uzyskanie renty na przypadek niemocy. Zabezpieczenie szczęścia domowego przed ubóstwem (dokończenie). Nasze pokarmy.

Pismo to wychodzi co dwa tygodnie w Poznaniu w Drukarni św. Wojciecha pod redakcyą X. Kazimierza Zimmermanna. Można je także zamawiać na poczcie (Zeitungspreisliste t. 115) — cena kwartalnej przedpłaty 1,50 m.

Polecamy nader usilnie to pismo tym wszystkim, którzy chcą czegoś się dowiedzieć o prawach robotnika i rzemieślnika — a szczególniej zaś tym wszystkim, którzy należą do zarządów naszych towarzystw lub uczuwają chęć i potrzebę do miewania wykładów na zebraniach.

OD REDAKCYI.

— ***Szanownym naszym Czytelnikom, Przyjaciołom, Współpracownikom i wszystkim nam życzliwym najserdeczniejsze składamy podziękowanie za tak liczne nadesłane nam z blizka i z daleka świąteczne i noworoczne życzenia.***

Panu Janowi P. w Wiskitnie. — Zażal się Pan do naddyrekcyi poczty w Bydgoszczy; ów urzędnik pocztowy jest zobowiązany przyjąć od Pana prenumeratę.

Panu Z. w Wyszawie. — Dział literacki jest właśnie tak drukowany, aby dał się oprawić jako osobne pismo.

Panu Franciszkowi K. w Krotoszynie. — O ile sięgają nasze informacye, wystarcza świadectwo (promocya) ze sekundy do prymy. Zresztą da Panu pewną informacyą miejscowy farmaceuta.

Panu Janowi K. w K. — Obrazka tego w kolorach nie posiadamy.

Panu Władysławowi M. w Berlinie. — Anonsuj Pan w „Pracy", a skutek będzie pewny.

Pani I. w Oliwie. — Jest to świeżo odnaleziony a dotąd nieznany wiersz cenionego poety z ery Mickiewicza, którego nie należy oceniać z tego punktu widzenia.

Do Zurychu. — Zbiory Rapperswylskie były nieraz opisywane w pismach illustrowanych. Mimo to umieścilibyśmy chętnie artykuł poglądowy wraz z odnośnemi fotografiami kilku nowszych cenniejszych zabytków oraz z ogólnym widokiem. Koszta fotografii zwrócimy, zresztą prosimy porozumieć się listownie.

— *Panu U. w Pleszewie.* — Wyszła Chociszewskiego: Księga Sybilinska, w której może Pan odnajdzie to, o co Mu chodzi.

Panu J. W. w Gnieźnie. — Dla braku miejsca nie mogliśmy zamieścić.

Trojakowi w Szczucinie (Galicya). — Wierszyk p. t. „Wigilia" odebraliśmy za późno już po wydrukowaniu numeru gwiazdkowego, zatem nie mogliśmy zamieścić. Dziękujemy za łaskawą pamięć.

Panu Julianowi D. w Olsztynie. — Wiersz taki sam już drukowaliśmy w poprzednich rocznikach „Pracy", dlatego nadesłanego nie zamieściliśmy. Co do agentury „Pracy" oddaliśmy tę sprawę do załatwienia naszej Administracyi.

Panu A. Wielochowi w Senftenbergu. — Nie istnieje żaden przepis prawny, któryby zakazywał pisanie godeł kupieckich lub przemysłowych (szyldów) w polskim lub innym języku. Podług naszego zdania służy godło takie do informacyi publiczności, może być zatem pisane w każdym języku czy to francuskim, greckim, rosyjskim lub chińskim. Pierwszy lepszy urzędnik podrzędny nie potrzebuje godła rozumieć.

Panu Wincentemu B. w Husowie (Galicya) — Artykulik zamieszczamy w niniejszym numerze. Co do reszty, to byśmy musieli wpierw przejrzeć.

Nr. 1. Rok VII.

PRACA

Dodatek Powieściowy.

Turcy w Górnym Szląsku.

Powieść prawdziwa z drugiej połowy XVIII wieku.
Napisał *Józef Lompa.*

Król i cesarzowa, syci długiego boju,
Dotrzymując słowa, żyli w dobrym pokoju;
Rany zarastały, zagłuchnął tentent koni,
Wojska spoczywały, umilknął szczęk broni.

Jako w całem pruskiem państwie, tak też i w Koźlu wczasowali się pruscy weterani, spoczywając na swych zdobytych wawrzynach. Bohaterzy z pod Lutyna i Burkersdorfu siedzieli sobie w ciepłych zgromadzeni pokoikach pułkownika Sassa; wieczór w wigilią ś. Michała Archanioła r. 1763 był bowiem pochmurny i wilgotny, a rany wojowników na polu sławy nabyte, jeszcze niejednemu dokuczały. Hasłem było: fajka Tonnenkanastru Natuzyusza, waza pączu i gra w szachy. Słusznie te trzy dobre rzeczy uwatane, ręce, ani na zbruzdowane czaszki, lub bliznami poorane w członkach; wszak to pewien sędziwy pruski jenerał, jako prezes kollegium wojenno-lekarskiego uznał je za takowe, a co ten uznał, to i tu za dobre służyć mogło, i tak też istotnie było. Niedbano tu o przedziurawione nogi i zdruzgotane ręce, ani na zbrózdowane czaszki, lub bliznami poorane twarze, albowiem dym knastrowy i walka skoczków na szachownicy rozpędzały wszelkie wspomnienia.

W tem usłyszano naraz głosy trąbki pocztarskiej i trzaskanie biczem, a ulicą komendantską toczył się w śpiesznym turkocie ciężki powóz, za którym się drugi zbliżał. Lecz w pokoikach weteranów nie uważano na to. Jakież by też wrażenie mógł sprawiać głos trąbki pocztarskiej na wojowników, którzy już tak często trąbę anioła śmierci słyszeli byli! A cóżby też pocztylion mógł tak ważnego przywozić, skoro pokój w Hubertsburgu zawarty, już w całym kraju istniał. — Aleć gdy wstąpił ordynans do pokojów komendanta, wszyscy spojrzeli na niego ciekawie:

„Donoszę, przybył extra-pocztą pan major de Pirch z Berlina, z ośmią towarzyszami,“

„Kto?“ zawołał komendant Sas na Grenadyera, „poboczny adjutant Jego Mości króla?“

„Za rozkazem!“ — była odpowiedź żołnierza.

Komendant skinął, a ordynans wyszedł.

„A cóżby to na tym durnym świecie miało znaczyć? poboczny adjutant króla! extrapocztą z Berlina? I tak nagle, bez poprzedniego zawiadomienia!

A gdzież on stanął?

Izaliż też tam będzie miał wygodną gospodę?

Niechaj porucznik Rochowski popatrzy, gdzie ten niespodziewany gość zajechał, i niech mi da wiadomość!“ — Tak pułkownik, a porucznik śpieszył rozkaz wykonać. Gra musiała ustąpić rozmowie. „Jest on może tylko w przejeździe na swe dobra,“ odezwał się kapitan Kalkrajter. „Adjutant nie był już dawno w Krzyżanowicach; niezawodnie chce widzieć swoją kolonią w Pyrchowie, do której osadników z Czech niemieckich i z Saksonii sprowadza. Powiadał mi o tem pan landrat Szyp przed kilku dniami w Rzeczycach, a to właśnie, kiedy zaszczyt miałem panią baronową Halamową odwiedzić, która pana majora oczekiwała.“

Takie wystawienie rzeczy przez rozważnego kapitana zadowalniało wszystkich, ponieważ się ono najprzyjemniejszem zdawało, lubo silnego konwoju majora nikt sobie wytłumaczyć nie potrafił. — Nagle wpadł porucznik Rochowski do pokoju, podając pułkownikowi list z temi słowy:

„Pan major będzie mieć honor, zameldować Panu komendantowi jeszcze dziś ustnie, co najwyższy rozkaz opiewać raczy. Nim się jednak dostawi, posyła przezemnie ten list własnoręczny z gabinetu Jego Mości Najjaśniejszego Króla.“

Pułkownik odebrał skwapliwie depeszę, a odpieczętowawszy ją, zaczem oczy wszystkich na twarzy czytającego spoczywały, mruczał następujące na pół zrozumiałe słowa:

Porta ottomańska — granicę polską — Tarnowskie góry — działa — huzary — stany krajowe.

Oficerowie poglądali z zadumieniem na siebie.

„A tóż Turcy!“ zawołał nakoniec komendant, zaczem wszyscy zadrżeli, nie tylko w pokoiku, ale i za pokoikiem. —

Stara kucharka pułkownika podsłuchała z ciekawością w pobocznej izbie, co w bawialnym pokoiku zaszło. Pośpiech porucznika wydawał się podejrzany, a będąc niegdyś markietanką, posiadała nieprzezwyciężoną namiętność ku wojennym przypadkom. Ostrożnie żeby jej nikt nie spostrzegł, uchyliła drzwi pobocznego pokoju, a wścibiwszy przez nie swoję śledziową główkę, nabrała do swych uszu dziwacznej wieści. —

„A tóż Turcy!“ wołał był pułkownik, a więcej też już nie było potrzeba, ażeby nogom swoim orlego dodać lotu. Bo jakżeby też markietanka, obznajomiona z taktyką wojenną, rodowita Brandenburczanka, tę tajemnicę u siebie zachować mogła. Izaliż tu los miasta, albo całego nawet państwa na prędkiem rozgłoszeniu wiadomości i uszykowaniu wojska nie zależał? Jakże patryotka milczeć może, skoro ojczyźnie niebezpieczeństwo zagraża. — Szybciej jeszcze jak porucznik po schodach do góry, zbiegła ona na dół i na ulicę, trąciła o żołnierza na straży stojącego, iż mu niemal broń wypadła, i co tchu pędziła na przeciwko do gościnnego domu „Pod trzema kozłami.“ Tam mieszkała wierna jej współtowarzyszka w pochodach wojennych, a teraz poważana gospodna Rózalka, która od tylu lat z nią smutne i wesołe przygody podzielała. Tej więc nasamprzód trzeba było najświeższą nowinę o potworze, o nadchodzącym Turczynie, opowiedzieć.

Pod „Trzema kozłami“ było zdawna piwo wyśmie-

nite, z kozielskiego zamku i z miejskiego browaru pobierane; dlatego też tam ciągle natrafiłeś znaczną liczbę gości. Jako każdego wieczora tak i dzisiaj siedziało wielu znakomitszych mieszczan, urzędników podwładnych i podoficerów czyli kaprali, poufale za stołami, boć jeszcze dziewiąta godzina nie doszła, a chociażby już i była doszła, toby i tak, pomimo żwawego gwaru w izbie gościnnej, jej bicia nie słyszano, gdyż wtedy, nad czemby się poniekąd nieco zastanowić można, ani na wieży kościoła parafialnego, ani na ratuszu, ani na kościele OO. Minorytów, zegaru nie było.

Właśnie skończył jeden grenadyer o swoich przygodach w drugiej ślązkiej wojnie prawić, jako się batalion jego pod Opawą przez nieprzyjaciela przebił, i jako on sam jednego Kroata jeńcem do Koźla przyprowadził. Byłby zaś dalej co innego zaczął, gdyby go nie był pewien podróżny zagadnął, zapytując: „na jaką pamiątkę w Koźlu raz w roku pewnego dnia obwodzą po mieście kozła wstęgami wystrojonego, z muzyką, a potem go na wieżę bramy Raciborskiej wynosząc, na dół zrzucają, a jeżeliby powstał i uciekać chciał, wtedy od czekających na niego rzeźników ostatni cios odbiera?

Przytomny tamże rektor miejski, objaśnił dawny obyczaj w następujących słowach: „Jako jeszcze i po dziś dzień położenie wskazuje, okolica Koźla była dawniej bardzo bagnista. Tu wśród trzęsawisk na małej kępie założył sobie rycerz, Kozieł zwany, potężny zamek, jak nam jeszcze i teraz szczątki jego ogromnie grubych murów wskazują, z którego on ze stronnikami swymi na przejeżdżających kupców i innych podróżnych wycieczki czynił, i onych rabował. Sprzykrzyło się to zuchwalstwo panującym w kraju. Obiecali więc hojną nagrodę temu, ktoby Kozła żywcem albo trupem właściwej zwierzchności wydał. Ale ponieważ przystęp do zamku bardzo był trudny, trudno też było kusić się na chytrego Kozła. Pewien oficer mający dosyć odwagi, ośmielił się i puścił się sam na zamek kozielski, udawając, jakoby w tych nieznajomych jemu okolicach pobłądził.

Kozieł obchodząc się z nim uprzejmie, częstował go gościnnie, a zaprowadziwszy go do otwartego okna, pokazywał mu okolicę na wszystkie strony, a zwłaszcza wychód ku północy na górę Chełm. Oficer schyliwszy się zręcznie, uchwycił Kozła silnie za nogi, wyrzucił na dół oknem, krzyknął, a pomocnicy jego w gęstych zaroślach na czatach ukryci, dopełnili reszty. Od owego czasu poczyna się historya miasta Koźla i nazwisko jego, gdzie dla bezpieczeństwa okolicy domy stawiać zaczynano. Na pamiątkę tego zdarzenia, utrzymuje się ów obyczaj obwodzenia i zabijania Kozła.“

Na to odrzekł tamtejszy mydlarz, co też był w klasztorze Cysterskim w Jemielnicy, [1]) cztery szkoły przeszedł, a więc nie był w ciemię bity. „Nie zaprzeczam przerzeczonemu zdarzeniu, mniemam jednak, że do nazwy Koźle mógł być ten albo też inny powód. Wiem ja z moich kilkoletnich wędrówek o wielu jeszcze innych miejscach, które sobie zapisałem, których nazwy z Koźlem bliskie podobieństwo mają, a takby też i te wszystkie od kozy lub kozła, albo od Koźla pochodzić musiały; n. p. Koźle niedaleko Sycowa, Kozłowice za Oleśnem, Kozinów za Wrocławiem. Kozłów w powiecie Bolesławskim, Koźlice w powiecie Wielkogłowskim, Koźle w powiecie Nissy, Kózki, Kozłów pod Glewicami, Kozłowa góra pod Bytomiem, i jeszcze wiele innych miejsc, które potem Niemcy najczęściej na Kosel przemienili, w czem jednak zawsze pierwotne słowo: koza lub Kozieł dopatrzeć się daje. Tak też mamy wiele wsi, których nazwa od wilka pochodzi, a które Niemcy także na Wilkau, jak Lisowice na Leisewitz itp. poprzerabiali. Jako już powiedziałem, nazwy pierwotne tych miejsc pochodziły z pewnej przyczyny. Tak n. p. mamy nazwy wielu wiosek od kobyły, jako to: Kobylice wieś pobliska, i inna tegoż imienia w pobliżu Trzebnicy; Kobylnik niedaleko Nowego Targu; Kobyły pod [illegible]; Kobylowa pod Hulczynem; Kobylina w powiecie Opolskim; a wszystkie te nazwy nie znaczą nic więcej, jak tyle, że tam w dawnych czasach książęta ślązkie lub właściciele tych włości kobyły, czyli stadniny swoje utrzymywali. A tak też wszystkie miejsca, co od Kozy są nazwane, pewno nic innego nie znaczą, jeno że tam najprzód kozy hodowano.

Podobnież wieś Oracze przy Głogówku, a wieś Kowale o ćwierć mili na zachód od Wrocławia poświadczają, że tam pierwsi osadnicy oracze i kowale byli. Pod Złotoryją, która się teraz Goldbergiem nazywa, mamy wieś, która się po dziś dzień według pierwotnej polskiej nazwy Kopacz nazywa, co kopalnie złota znaczyło, z których Tatarzy, gdy pod Legnicą naszych książąt zwyciężyli, *500* górników ze sobą zabrali. Chociaż tam mieszkańcy zupełnie zniemczeli, nazwa polska jednak żyć nie przestała.“

Mydlarz przestał, a rektor opowiadał dalej. „Co się naszego Koźla tyczy, miał to miejsce najprzód Bolesław III. król polski, Krzywoustym zwany, obwarować, kiedy tenże przeciw Zbigniewowi, bratu nieślubnemu, na Ślązku wojować musiał, albowiem wtedy cały Ślązk był częścią kraju polskiego. Jakim sposobem się kollatura naszego farnego kościoła pod zarząd komendatora zakonu Maltańskiego w Grobniku [2]) dostała, tak że tenże jest właściwym proboszczem w Koźlu, i urzędem tym przez zastępców swoich zawiaduje, nie jest mi wiadomo; według naszych kronik jednak hrabia Jan z Opersdorfu, jako pan na Głogówku i ówczesny właściciel państwa Kozielskiego, wystawił r. 1570 kościół farny, obok dawniej istniejącej kaplicy.

Od r. 1287 utrzymywali tu książęta cieszyńscy swych kasztelanów, czyli zawiadowców. Od r. 1359 otrzymali to państwo książęta Oleśniccy, którzy tu klasztor Minorytów fundowali. Później dostało się nasze Koźle z okolicą książętom Opolskim; roku zaś 1532 cesarzom niemieckim, i było w zabudowaniach swoich obszerniejsze niż obecnie i bardzo zamożne. Duńczycy zdobyli je pod Mansfeldem r. 1626; w siedm lat później Sasi, a po dziewięciu latach nieskorzej szturmem Szwedzi, którzy je spalili. Przed blizko 21 laty dostało się Koźle w pokoju Wrocławskim królowi naszemu, który go przez jenerał-majora Wallrawe kazał w potężniejszą warownię przeistoczyć. Byłem tu już wtedy obywatelem, kiedy roku 1745 Węgrzy miasto zdobyli, ale im je zaś wkrótce Prusacy odebrali, poczem je jeszcze r. 1758 i 1759 a na koniec przed trzema laty bezskutecznie oblegali.“

Na tem, co już był po kilkadziesiąt razy obcym osobom opowiadał, skończył rektor z poważnie uczoną miną, a stary mieszczanin zaczął prawić o wojnach cesarzów niemieckich z Turkami, dodając: jaki wielki wtedy postrach w Ślązku panował, kiedy Turcy całe Węgry posiadali. Wtedy każdodziennie pewnej godziny po wszystkich kościołach zabrzmiał głos wielkiego dzwonu, a na ten znak, upadał każdy bądź w domu albo pod gołem niebem, na kolana swoje, modląc się pokornie do Boga, ażeby Turka, tego okrutnego nieprzyjaciela chrześciaństwa, mocą swoją poskromić i poniżyć raczył.

W tem wpadła zadyszona kucharka pułkownika do izby szynkownej, a słysząc ostatnie słowa, zawołała:

— O mój miły Boże! a toż i wy już o tem wiecie?

— „A czegożbyśmy nie mieli wiedzieć?“ — odpowiedziało kilka gosów razem.

— O mój miły Boże! żywocie mego żywota, toż Turek się zbliża!

— Ej! matusio Maryjanko, wy jeszcze i teraz tak bzdurzycie, jak niegdyś w obozie, gdzie nas miał głód wymorzyć, — odezwał się grenadyer ze siwą brodą.

— Co? ty stary grzeszniku? — zawołała z gniewem uniesiona kucharka, — jeszcześ się to nie nauczył w Boga wierzyć? Jeszcze to takim światowcem jesteś, jakim przed laty byłeś? Pokutuj a nawróć się, albowiem wiedzieć nie możesz, jeżeli w kilku dniach pod tureckiemi szablami twej grzesznej duszy nie wyzioniesz? Turcy już pod Tarnowskiemi górami stoją! Przed pół godziną przybył jenerał z Berlina, iżaliż powozu jego nie widzieliście albo turkotu jego nie słyszeli? z nim przybyło też 80 kuryerów, a pan pułkownik otrzymał list od króla, w którym stoi: Turcy już są pod Tarnowskiemi góry, huzary, działa i powszechne powstanie mają naprzeciwko nim wyruszać.

Jeden z weteranów ozwał się: — A toćby chyba z wiatrem przylecieli.

---

[1]) Jemielnica, wieś o 1 milę ku północnemu zachodowi od Wielkich Strzelec, mająca od r, 1280 klasztor na 20 Cystersów, który książę Bolesław w Opolu wystawił. Klasztor ten dwa razy, raz przez Husytów, a raz przez Szwedów został spustoszonym.

[2]) Grobnik wieś o pół mili od Głupczyc, aż do r. 1810 własność mianowanego zakonu; po zniesieniu klasztorów w Ślązku za 135,000 talarów sprzedana; parafia tamtejsza należy do arcybiskupstwa Ołomunieckiego.

Patryotyczna kucharka mówiła dalej: — Słyszałam też i jedno łacińskie słowo: terventire, którego nie rozumiem. Cóż to ma znaczyć?

Jeden z mieszczan, co też przed laty szkoły łacińskie w sławnym klasztorze w Rudach ukończył, nabrawszy uczonej miny, rzekł: ventire, ma jedynie podobieństwo do wyrazu ventus, a to jest wiatr.

— A toż to mamy! — westchnęła ciężko kucharka, — Turek tak jako wiatr ku nam przychodzi! Ach mój miły i biedny panie! jakże z tobą będzie? brakuje dział na wałach, brakuje palisadów w fosach, niemasz amunicyi, mięsa, mąki, gorzałki, załoga słaba, bo cóż to te trzy słabe bataliony znaczą?

— Co wy to pleciecie? Hej! Frycu! Morycu! Trzy po trzy, a po żadnej nic. To są słabe bataliony? Nie! zuchy, żwawe chłopaki, co przed Swidnicą jako mury stały, — powstał z hałasem jeden huzarski kapral.

— Nie gniewajcie się, przyjacielu, — odezwał się łacinnik, może w depeszy nie stało ventire, ale intervenire, to jest: wstawiać się, albo wdawać się do pośrednictwa.

— Może i tak być, — odrzekła jękliwym głosem pomarkietanka. — Ale cóż to znaczy?

— Co to znaczy, to każdodziennie na tablicy tej gospody widzieć możecie, — odpowiedział łacinnik. — Na niej są trzy kozły odmalowane. Dwa bodą się, trzeci przychodzi i rozpędza ich swemi rogami, a to nazywa się pośrednictwem.

— Ej! miły mój Boże! otóż to jest właśnie, czego ja się najbardziej obawiam, — odpowiedziała markietanka. — Skoro się dwa kozły bodą, a trzeci pomiędzy nich swój łeb wrazi, wtedy może za jednym razem dwa pchnięcia otrzymać, i w tym momencie oba oka utracić.

— Ej! ten trzeci kozieł musi sobie według taktu polityki postępować, to jest: dopóty czekać, aże się jeden przeciwnik znudzi, a drugi nazbyt zmordowany już bość nie zdoła: — odrzekł stary kapral. — I tak się też pewnie rzecz wystawi. Zaiste Turek z Polską wojnę toczy, a nasz stary Fryderyk pomiędzy nich wystąpi.

— Tak będzie niezawodnie — przemówiła kucharka i szepnęła do ucha starej zwolenniczki swojej: — Dla tego kupujcie zawczasu gorzałkę, nim w cenie poskoczy. Ja z wami na spół handel prowadzić będę! — To wyrzekłszy oddaliła się z pośpiechem.

Stary grenadyer zapomniał był tymczasem swego gniewu i rzekł: — Hej! toby było na moje stare lata, żebym jeszcze teraz z Turkiem miał znajomość zabierać. Walczyłem już z Moskalami, Kozakami, Kroatami, Węgrami i Francuzami, ale dziwnie by mi przecie przychodziło, kiedyby przyszło się spotkać z tymi pogańskimi muzułmanami. Dziwny! jednakże coś musi być koniecznie w tej sprawie. Uważajcie jeno: tam w domu komendanta, chociaż już tak późno, we wszystkich oknach się świeci. Pójdę ja tam na zwiady. — I poszedł.

Równocześnie szło przed nim trzech oficerów żwawą rozmową zajętych. Grenadyer postępował za nimi cichaczem i podsłuchiwał z ciekawością. Słyszał wtedy słowa kapitana Kalkrajtera; — Pamięci godną jest ta okoliczność, że kiedy przed dwoma laty bliscyśmy byli śmierci głodowej, wtedy Turek nie chciał o nas nic wiedzieć, i ociągał się ze swemi obietnicami. Teraz zaś, kiedy Prusy pokoju zażywają, teraz się zbliża, i będziem go mieli nim się spodziejemy. A cóż do tego obydwie cesarzowe rzekną? i cóż powie cała Europa? Ej! gdyby to po mojemu było, jużbym był dawno tego wartogłowca Turka za morze do Azyi, zkąd przybył, wypędził!

Grenadyer, uśmiechając się i głaszcząc sobie wąsa, wrócił do piwiarni. Sprawozdanie jego brzmiało: — Turek już ciągnie!

W pierwszych dniach miesiąca października r. 1763 szło nader żwawo w powiatach Koźla, Toszka, Bytomia i Lubieńca. Dragoni powiatowi ścigali na wszystkie strony; ordynanse gonili od wsi do wsi z okólnikami czyli kurędami; husarze jeździli od miasta do miasta; rzeźnicy kręcili się po wsiach, pustkowiach i pańskich dworach, szukając wołów i cieląt; liweranci żydowscy gorzałki i owsa; kucharze cebuli i czosnku, masła, mleka i miodu; ekonomi krzyczeli i miotali klątwami i obelgami, gumienni i włodarze narzekali i skrobali się za uszami, właściciele dóbr i szlachta w miastach mieszkająca, również i majętniejsi kupcy, pakowali srebra i kosztowności swoje; wyprowadzano z szop najpyszniejsze powozy, wywodzono najlepsze konie ze stajen, i wszędzie brzmiał rozgłos: „zaprzęgaj Janie! żebyśmy za wczasu wyruszyli!“ — Takiego ruchu nie widziano od owego czasu, kiedy następny pogromca Turków, Laudon-Belgradski, oblęgnąwszy warowne Koźle, w całym górnym Slązku przeciwko Prusakom postrach roznosił, gdyż on był najgroźniejszym króla Fryderyka przeciwnikiem.

Również żywy ruch panował w Koźlu. Mniemałby był niejeden, że Turek już przed wyłomem muru stoi. Wywożono działa ze zbrojowni, przybierano artylerzystów, naprawiano lawety, napełniano starannie i ostrożnie skrzynie amunicyjne. Z ciekawością badali mieszczanie u rakietników: „coby te przygotowania znaczyć miały?“ Odpowiedzi były krótkie: „nie wiemy! snadź na Turka!“ — Cudzy major z Berlina był już ze swoją świtą ku polskiej granicy odjechał. Z okolicy nadchodziły dziwaczne stokrotne, trwogę wzbudzające wiadomości. W Bycinie [1]) wypłoszeni zostali z gościny liczni przyjaciele sędziwego jenerała Wernera; w Glewicach, w Toszku i Pyskowicach, siodłały swe konie szwadrony brunatnego huzarskiego pułku jak najśpieszniej i opuściły swoje garnizony; we wszystkich dworach zabierano najlepsze powozy i żądano najlepszych koni; skupowano jaja, kury, cielęta, barany, i płacono ile kto żądał; spędzano tuczne woły stadami, gdzie się tylko nabyć dały. Nad tem tylko dziwił się każdy i zastanawiał, głową potrząsając: że żadnych świń nie żądano.

Urzędnicy w landrackich kancelaryach, i poborowych urzędach, byli wielce utrapieni. Dniem i nocą musieli sekretarze i poborcy, asystenci, pisarze i aplikanci pisać, że już zaledwie pióra utrzymać zdołali! każdy reskrypt trzeba było sześć lub siedem razy przepisywać i w obieg rozsełać; każdy okólnik musiał być niezbędnemi dodatkami: „cito! citissime!“ (śpiesznie! jak najśpieszniej!) zaopatrzony. Konni posłowie uwijali się na wszystkie strony.

Znany z swojej jowialności i krotochwile lubiący poborca Krabel w Glewicach, wysyłał właśnie obszerny, ale koniecznością nakazany cyrkularz landrata królewskiego de Sak, w którym tenże dobitnemi wyrazami i ostremi karami odgrażał, w razie gdyby zażądań nie respektowano, a mianowicie, że nakazane dostawy silnemi oddziałami huzarskiemi popierać będzie. Właśnie też figlarny poborca wypisał był konsygnacyę czyli przegląd wiktuałów, do ekonoma Szrajera w Tworogu, i w niewyczerpanym swoim humorze dodał dowcipny przypisek, czerwonym atramentem nakreślony: — „Tu ma pan zarządzca ekonomii całkowite abecadło, a jeżeli sobie takowe dobrze przesylabizuje, zasłuży sobie na uznanie całej ludzkości.“ — Jak mówię ukończył właśnie to pismo, kiedy dragon powiatowy, imieniem Krystyjan, świszczącym cwałem przed dom urzędu poborowego na swoim rumaku przypędził, a za nim kupa młodej publiczności ulicznej z wesołemi okrzykami gnała. Albowiem w takim stanie mieszkańcy glewiccy jeszcze nigdy mrukliwego Krystyana nie widzieli. Jego trzyrogaty kapelusz rozwieszony, bez wstąg i sznurów, sięgał aż do ramion, czarnej pilśni nie było widać ani znaku, warkocz cały rozczochrany; mundur zwykle dragonów odznaczający, ledwie gdzie niegdzie na nim przeglądał; szabla nabyła nowej pochwy podobnej do powłoki kapelusza; bóty i ostrogi wydawały się, jak gdyby były jakąś materyą zarosły; a dzielny siwojabłkowity wałach, zamienił się w jakiegoś różnobarwnego bulana.

— Patrzajcie! widzicie naszego Krystyana! — wołał pan Krabel, śmiejąc się do rozpuku. Oj jak ładnie on dziś wygląda, prawie jak gdyby z kałuży wylazł!

— A jużci tak, — bąknął Krystyan, — bom się ledwie z niej wydobył, i mruczał jeszcze coś więcej, wchodząc do kancelaryi. — Bodajby sobie ci przemierzli Turcy byli zostali, gdzie im pieprz rośnie. Snadniebyśmy się tu bez nich obeszli. Ani nie wiem jak ta depesza wyglądać będzie, bo pod siwkiem leżała. — Na — otóż jest. Przepraszam uniżenie, bo ja za to nie mogę. — I podał poborcy coś, co się tenże do ręki wziąć wzdrygał.

— Krystyanie? cóż to ma być?

— Ej, hm, depesza!

— Ale, dla Boga! cóż to za koperta? w jakiejże ona kąpieli była? ja się tego dziwoląga tknąć nie mogę.

---

[1]) Bycina, wieś o milę ku wschodowi od Toszka.

— No, tóż to do wody wrzucę, aby się to opłókało.

— Nie, dajcie pokój, nie zmywajcie, niechaj się czepia, co się przylepia. Co raz macierz przyroda złączyła, niechaj sztuka nie rozłącza! Otrzemy tylko co grubsze, reszta zaś niechaj na wieczną pamiątkę pozostanie, jako jeden waleczny-wojak dragon r. 1763 po narodzeniu Chrystusa, w błocie z depeszą utonął, a to z bojaźni przed Turkami, lubo w pięciu krwawych bitwach wyszedł zwyciężcą. [2])

Krystyan mrucząc odszedł, a pobórca rozwijał ostrożnie przemoczone i ubazgrane błotem pismo. Czytająą tupał niecierpliwie i wołał: — Ach co to za konfuzya! W tem okamgnieniu ma być 60 koni z chomątami i wszelkim przyrządem do Pyskowic dostawionych, ażeby 9 dział sprowadzić, a wczoraj miała już być artylerya w Glewicach, na którą podwody czekają. — Niechętnie umaczawszy pióro w czerwonym atramencie, napisał na boku nakazu: „W powietrzu nie można tam koni dostawiać, które w Koźlu być mają.“

Mimo to zebrano jednak czemprędzej zaprząg, i w godzinie odchodziły konie do Pyskowic; bo to wiedzieć trzeba, że w owym czaśie i wiele lat jeszcze potem, podwody czyli forszpągi z całego powiatu, były wszędzie w mieście powiatowem ciągle utrzymywane, które wojskowych lub innych urzędników publicznych odwozić musiały. Król pruski bowiem utraciwszy w czasie siedmioletniej wojny blizko 180,000 żołnierza, i 125 milionów talarów na wojenne wydatki, trzymał mocno drogo okupioną i zdobytą prowincyę, i dlatego utrzymywał w niej siłę wojskową, 40,000 głów liczącą; a z tej przyczyny dla ciągłej komunikacyi przerzeczone podwody niezbędnie były potrzebnemi.

Wyżej mianowany major czekał pod namiotami, w pobliżu wioski Przełajki, o milę od Bytomia odległej, nad granicą polską położonej, ze swoim konwojem przez sześć dni, i czekać mu koniecznie wypadało, bo kto nię nadchodził, tego oczekiwać należało. Bawił tedy najwięcej w zamku Siemianowskim, zaczem dla drużyny jego ognie w polu i w pobocznych barakach nie ustawały. Straży wojskowej towarzyszyły bez ustanku poselstwa z gmin wiejskich i miast poblizkich. Lecz przy samym ogniu siedzieć, to nudno. Cóż tu najlepszego czynić? — Młynarz w Przełajce, spuściwszy swój staw, mówił: — będzie zabawy i rozrywki a oraz i ryb dosyć. Wszak tam ci Turcy gdzieś sobie zostają, a oprócz tego zażądano już ryb do zamku w Siemianowicach, możemy się zabawić.

Zebrawszy więc potrzebnych do połowu ludzi, rzekł: — Ej! jak mi jeszcze mój pradziad opowiadał, były też to dawniej u nas w Ślązku stawy i rybołostwo w daleko lepszym stanie, jako je teraz widzimy. Obie te gałęzie gospodarstwa rolniczego należały w owych czasach do miłych i korzystnych zabaw wiejskich. Osobliwie ślązcy panowie, ubrani w długie bóty jak rybacy, uganiali się po stawach za karpiami i szczupakami, i utrzymywali zdolnych stawiarzy, trudniących się zakładaniem, czyszczeniem i utrzymywaniem stawów, których często gęsto ze Ślązka do Polski sprowadzano. Ej! już to cztery lata jak staw mój nie jest łowiony, będziemy więc mieli obfity połów; będą karpie, karasie, okunie, szczuki, kleszcze, liny, certy, miętusy węgorze i sumy. Ej! upada u nas rybołostwo, bo gospodarze wolą teraz nowo pojawiony płód ziemny, kartoflami lub ziemniakami zwany, hodować, aniżeli stawy rybami osadzać. Dawniej u nas w Ślązku, osobliwie w okolicach, gdzie urodzaje były słabe i liche i gdzie się handlem lub przemysłem nie trudniono i zboża nie spławiano, stanowiło rybne gospodarstwo największe dochody dla rolnika. Po miastach sprzedawano bez ustanku ryby świeże i suszone, a po dziś dzień pozostały imiona dawnych targowisk po miastach, rybia albo rakowa ulica; jako i miasto Rybnik nazwisko swoje od mnogich tam byłych sadzawek czyli rybników potrzymało. Ale u nas też właśnie gospodarze wiejscy ustawicznie w wodzie tak się płókali, jak czaple, z sukien swych nie zwłóczyli się prawie nigdy, i w skórzanych spodniach czyli portkach, albo po naszemu galatach, ustawicznie chodzili, o stawach tylko a wodzie myśląc; przeto też nieboraków czuć było rybami jak wydry, o czem w jednej książce przez niejakiegoś Albrechta Strumieńskiego napisanej, czytałem, którą sobie przed kilkunastu laty w Krakowie kupiłem, i wam przeto z niej jeszcze dziś o tem gospodarstwie wiele opowiedzieć mogę.

Spuszczono staw. Zeszli się z całej okolicy myśliwcy i gajowi, jakby się na jakie polowanie zanosiło. Utrzymywano przez całą noc ogień z łuczywa na grobli, pieczono złapane do więcierzy ryby, popijano miernie wódeczkę i miodek z Czeladzi. Przybył też do towarzystwa i tamtejszy organista; a czemużby nie przyszedł, kiedy mieszkańcy z Siemianowic do tamtejszego kościoła należeli i tam się grzebali. Rzekł wtedy młynarz: — kiedy kmotr przyszedł, może tu młynarczyk dozoru dopilnować, my zaś pójdźmy sobie do ciepłej izby, a tam będzie nam kmotr prawić, że nam nudno nie będzie.

Zasiadłszy całe koło w izbie przy stole, zaczął organista z Czeladzi swoje gawędy opowiadać, mówiąc: — proszę o cierpliwość, bo dzisiaj moja historya o Bytomiu dosyć długa będzie, lubo onę w skróceniu podam.

„Bytomianie, jako o tem w kronice pisanej czytałem, mieli przed czasy, oj będzie temu przeszło pół piąta set lat, mieli tyle kruszczów srebrnych, że sobie z nich kolebki dla swych dzieci i podstawki do łóżek robić dali. Księża tamtejsi domagali się dziesięciny z skarbów podziemnych, jak z urodzajów polnych pobierali. Mieszczanie nie chcieli na to przystać. Najbardziej opierał się temu burmistrz Fabrycy. Proboszcz kościoła św. Małgorzaty za miastem, zakonu Premonstratów, Wincentynami zwanych, podchlebiając jemu mówił: — jeżeli wam wasz pleban miejski u Panny Maryi nabożeństwa odprawiać nie będzie, możecie za darmo do naszego kościoła chodzić, a niepotrzeba wam będzie owsa i mesznych groszy dawać. — Burmistrz odpowiedział na to: — nie będzie nic z tego, co Jego Mość ksiądz pleban żąda. Jeszcze dziś do książęcia o tem napiszę. — Na to odpowiedział proboszcz: — Uczyńcie tak! Ja z mojej strony każe chętnie codziennie w miejskim farnym kościele godzinki śpiewać, skoro tenże z naszem probostwem zjednoczony zostanie. Wszakże wam wasz pleban Piotr z Koźla tylko przez Cieszyńskiego księcia jest narzucony. — Przychwalając mu burmistrz Fabrycy, zapalił pochodnię z łuczywa, i wyprowadził go ze swej piwnicy podziemnym chodnikiem aż do klasztoru św. Małgorzaty. Potem ubrany w czarnym urzędowym ubiorze, z kordem przy boku, udał się na ratusz, a rozmawiając długo z syndykiem Wojtachą w cztery oczy, przedłożył następnie zgromadzonej radzie wniosek: ażeby zwiedzić szyby kopalni srebrnych kruszców przed Tarnowską bramą.

„Pełni powagi i dostojności postępowali ławnicy, przed nimi zaś szedł kat z gołym mieczem, jako godłem: że Bytomskiemu magistratowi prawo nad życiem i śmiercią przynależało; za nim szli dwaj miejscy słudzy niosący powrozy i kije, a w tyle za nimi postępowała straż miejska, składająca się z dwunastu helebardystów, hajdukami zwanych, czyli młodszych cechu albo zgromadzenia rzemiosła kowalskiego, na których w tym dniu kolejna służba stała. Przechodząc podle szubienicy o kilka set kroków za bramą wystawionej, na której trup Mikłosa Dyngusa, słynnego rabusia wisiał, który na ludzi od zdroja niedaleko Glewickiej bramy napadł, a że na koniec swe zuchwalstwo gardłem przypłacił, przemówił burmistrz: — na ten sposób muszą wszyscy burzyciele publicznego pokoju ginąć! — Atoli to on sam podsycał w sobie zamiary buntownicze przeciw plebanowi Piotrowi Kozielskiemu. Tego bowiem osadził był Przemysław, książe na Cieszynie, jako opiekun młodego księcia na Koźlu, któremu połowa miasta Bytomia należała. Z tej przyczyny był magistrat przeciw niemu bardzo zajątrzony, uważając go za narzutka. Mimo tego sprzyjali Bytomianie więcej drugiemu właścicielowi miasta, mianowicie księciu Konradowi białemu na dzielnicy Oleśnickiej. W tym umyśle zasilał ich też Konrad, w mniemaniu: że z czasem całe miasto pod swoję władzę zagarnąć może. Narzędziami jego chciwości cudzego dobra mieli być zakonnicy Wincentyni u ś. Małgorzaty, zwłaszcza żeby ich dochody pomnożone zostały.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

[2]) Dokument ten jeszcze in statu quo istnieje.

Przedruk wzbroniony).

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

39) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

— Nie wiem! Ale znam dom, do którego mąż tej pani często chodzi.

— Gdzie to jest?

— Niedaleko ztąd, w bocznej ulicy. W domu tym jest mały skład towarów kolonialnych.

— Myślisz, że znają tam jego nazwisko?

— Naturalnie, widziałam go już kilka razy wchodzącego do składu. Dziś był tam także!

— Chcesz mnie zaprowadzić na ową ulicę?

— Bardzo chętnie. Dziękuję panu za czokoladę i za ciastka, zaniosę je mamie. Ale weź pan za to różę — proszę — odwdzięczę się chociaż kwiatem za tak wyborną kolacyą!

Tyrolczyk wziął pierwszy lepszy kwiat, zapłacił i wyszedł z dziewczynką.

Po kilku minutach stanęli przed domem Greffina.

— Wejdź pan i spytaj, — rzekła Mignon, — ja zaczekam tutaj.

W składzie były właśnie obie siostry i Antoni zapytał je uprzejmie o nazwisko mężczyzny, mającego czarne włosy, czarną brodę, i przychodzącego tu często.

— Powiedźcie mi panie prawdę, — rzekł, — bo chodzi mi o zbrodniarza.... .

— Ach, to hrabia Barin, — zawołała Fanchon.

— Wiesz pani, gdzie on mieszka?

— Na przedmieściu St. Germain. Numeru nie znam, ale wiem, który dom. — — Jeżeli pan chcesz, pójdę z panem i pomogę. — — Pan jesteś tu obcym — ja ci wszystko ułatwię.....

Antoni przyjął z wdzięcznością pomoc Fanchony, i pół godziny później znajdował się wraz z nią i małą Mignon przed wspaniałym pałacem, w którym mieszkał hrabia Barin.

Antoni drżący z niecierpliwości, chciał biegnąć natychmiast do pałacu i choćby przemocą zdobyć sobie wstęp do Felicyi, ale Fanchon powstrzymała go od tego.

— Popełniłbyś pan wielkie szaleństwo, — rzekła. — Przemocą nic tu nie zrobisz! Czy myślisz pan, że hrabia Barin nie pilnuje żony? Najlepiej posłać Mignon do niej. Temu dziecku nie wzbroni przecież hrabia przystępu do żony.

— Pójdę bardzo chętnie, — zawołała Mignon.

— Napisz pan do hrabiny kilka słów, — radziła Fanchon.

Antoni wydarł kartkę z notesu i następujące na niej napisał słowa:

— Wierny i szczerze oddany sługa pragnie gorąco zobaczyć hrabiankę Felicyę Szalenburg. Opuść pani dom ten i powiedz małej kwiaciarce, gdzie cię zobaczyć może twój przyjaciel najwierniejszy z Wiednia!

Przysięgam na Boga, że nie jest to żadną zasadzką! Chodzi tu o szczęście, a może i o życie pani!

Fanchon wzięła kilka róż z koszyka dziewczynki, owinęła je kartką, potem staniolem i podała je dziecku.

Mignon weszła śmiało do pałacu.

— Czego tu chcesz? — krzyknął odźwierny na nią ostro.

— Wybacz pan — pani hrabina zamówiła u mnie róże, przynoszę je więc....

— To co innego. Idź na górę!

Z bijącem sercem szła Mignon dalej — na pierwszem piętrze ujrzał ją Luigi.

— Ah, mała kwiaciarka, — zawołał uradowany, wyciągając do niej rękę.

Nie po raz pierwszy widzieli się i rozmawiali z sobą oboje. Luigi widywał Mignon codziennie przed kawiarnią i sprzeciwiał jej się zawsze. Już to pociągnął ją za włosy, już to uszczypnął ją w ramię, a dziewczynka broniła się, jak mogła.

— Daj mi pan pokój, — rzekła Mignon rozgniewana.

— Oho, bądź grzeczna! Inaczej nic w tym domu nie zarobisz! Ja tu jestem panem! Chcesz sprzedać róże?

— One już są sprzedane. Hrabina Barin kupiła je i kazała mi je przynieść. Gdzie jest hrabina?

— Nie możesz jej teraz widzieć!

— Zobaczymy! — odrzekła Mignon i w następnej chwili krzyknęła z całej siły:

— Pani hrabino! Pani hrabino! Nie chcą mnie wpuścić do pani!

— Milcz, mała gadzino, — syknął Luigi.

Ale równocześnie otworzyły się drzwi w korytarzu, i Felicya stanęła na progu.

— Co się tu dzieje? — zawołała. — Ah, to ty Mignon! Puść ją Luigi! Pójdź moje dziecko do mnie!

I ująwszy rękę Mignon, wprowadziła ją do pokoju.

— Chciałaś czego odemnie? — zapytała serdecznie. — Masz jaki kłopot? mogę ci w czem pomódz?

— Mam prośbę do pani!

— Jaką?

Mignon wzięła pęk róż i podała je Felicyi.

— Przyjmij pani te róże odemnie, — rzekła.

Felicya zdziwiona spojrzała na nią.

— I po to przyszłaś tutaj? — zawołała. — O, nie wierzę ci! Chodzi tu pewnie o coś ważnego!

— Weź pani te róże, — powtórzyła Mignon.

Felicya wzięła kwiaty i przycisnęła je do twarzy.

— Jaka cudowna woń, — szepnęła.

— Piękniejszem, niż woń róż, — rzekła teraz Mignon, — jest pozdrowienie, napisane na kartce, którą łodygi ich są owinięte. Ten pan, który mi je kazał przynieść.....

Felicya zadrżała i rzuciła kwiaty na ziemię.

— Nie przyjmuję od nikogo pozdrowień, — zawołała oburzona. — Powiedz temu panu, że pozdrowienia swoje ma posyłać innym paniom, i że nie powinien tak młodych dziewczynek jak ty, używać do podobnych niegodziwych poselstw.

W oczach dziecka stanęły łzy.

Milcząc podniosła kwiaty i podała je po raz drugi Felicyi.

— Pani hrabino, — rzekła, — ten pan szukał cię po całem mieście. Jest to dawny znajomy pani, proszę, błagam, przeczytaj tę kartkę.

Felicya zamyśliła się na chwilę.

— Czyżby cesarzowa była ją poznała i posyłała teraz po nią?

Czy chciała ją zobaczyć i uwierzyć w jej niewinność, czy też każe ją aresztować....

I nie wahając się już dłużej, zerwała staniol i przeczytała kartkę.

Na pierwszy rzut oka poznała pismo Antoniego.

— Ach, on nie zdolny do zdrady, ten poczciwy człowiek, — szepnęła, — on może być tylko wysłannikiem zgody i szczęścia! Usłucham go — może on mnie zaprowadzi do cesarzowej! Rzucę się do nóg jej — ona musi uwierzyć, że jestem niewinną! Mignon, — rzekła nieco głośniej, — zbliż się do mnie i mów zupełnie po cichu, bo za drzwiami stoi szpieg i podsłuchuje nas!

— Słucham rozkazów pani, — odrzekła dziewczynka.

— Powiedz temu panu, że chcę go widzieć, ale że nie mogę wyjść z domu. Jestem tu, jak w więzieniu, nie wolno mi się na krok wyruszyć! Jak to zrobić, aby ten pan przyszedł do mnie?

Mignon zamyśliła się na chwilę.

— Mówisz pani o szpiegu, — szepnęła, — czy to Luigi?

— Tak, to on! Jest to jeszcze młody chłopiec, ale chytry i przebiegły jak lis!

— O, ja mu dam radę! Chociażby był jeszcze przebieglejszy. Za dziesięć minut będzie ten pan tutaj!

I zanim Felicya zdążyła odpowiedzieć, wzięła Mignon swój koszyk i wybiegła z pokoju.

Luigi stał na schodach.

— No i cóż, sprzedałaś twoje róże? — zawołał.

— Jednę! Myślałam, że hrabina da mi kilka groszy więcej — chciałam tak chętnie iść raz do cukierni na lody, ale nie mam pieniędzy!

—O, ot ty lubisz słodycze? — roześmiał się Luigi.

— Ach, któżby ich nie lubił! — westchnęła Mignon. — Gdybyś ty był grzecznym kawalerem i gdybyś miał pieniądze, to zaprosiłbyś mnie też raz na lody, ale ty pewnie jesteś taki biedak jak i ja!

—Oho! Co ty sobie myślisz! Ja mam dużo pieniędzy!

— Żartujesz! Nie wierzę ci!

— Więc przekonaj się! Pójdź ze mną do cukierni! Hrabia nie pozwolił mi wprawdzie wychodzić, ale raz — ach, nic to nie zaszkodzi. Idźmy!

— Ach, doskonale! Jakże się cieszę! Lepiej jednak, że ja pójdę najpierw sama, a ty przyjdź kilka minut później. Zaczekam na ciebie przed cukiernią.

— Dobrze! Spiesz się, ja zaraz przyjdę!

Mignon wybiegła na ulicę i szybko Antoniemu o wszystkiem powiedziała. Pięć minut później witała przed cukiernią swego nowego przyjaciela i przymilała mu się o lody, czokoladę i ciasta.

Chciała go tu jak najdłużej zatrzymać.

Luigi promieniał dumą i zadowoleniem!

Raz też mógł odegrać rolę pana i poszczycić się zebranemi w służbie pieniędzmi, a radość ta była tak wielką, że zapomniał zupełnie o rozkazach swego pana!

ROZDZIAŁ LXII.

Wyjaśnienia.

Antoni wchodził do pałacu hrabiego Barina!

Głębokie wzruszenie ogarnęło dzielnego tego człowieka, a serce biło mu jak młotem na myśl, że ujrzy tę, którą tak gorąco ukochał, a która mu na zawsze niedostępną była!

Lata całe kochał ją, nie mówiąc ani do niej, ani do nikogo w świecie o swej miłości, a miłość milcząca jest najgorętowniejszą, najstalszą!

I szedł teraz jak we śnie, namyślając się nad tem, co jej powie, ale zapominał zaraz tego, co sobie układał, i mimowoli powtarzał nieustannie:

— Zobaczę ją! Zobaczę ją!

W przedsionku pałacu stał oddźwierny.

— Kto pan jesteś? Czego chcesz? — zawołał.

Tyrolczyk udawał, że nie rozumie słów jego i zbliżał się do schodów.

Ale odźwierny zastąpił mu drogę.

— Zdaje się, żeś pan głuchy! — krzyknął.

— A pan bardzo niegrzeczny, — odrzekł Antoni.

Obydwaj mężczyźni, olbrzymie postacie, zmierzyli się oczami.

— Odejdź pan ztąd, — zaczął po chwili odźwierny. — Bez mego pozwolenia nie wolno tu nikomu wchodzić.

— Przyjacielu, — rzekł Antoni uprzejmie, — ja przychodzę do pani hrabiny! Znam ją od dawna i chciałem ją tylko zobaczyć na chwilę!

— Wróć pan, gdy hrabia będzie w domu! Na jego wyraźny rozkaz nie wolno mi nikogo wpuszczać do pałacu! Straciłbym miejsce!

— Ale ja chcę widzieć hrabinę!

— Żałuję bardzo!

— Więc hrabina jest po prostu więźniem w domu?

— Nie wiem i nie mam najmniejszej ochoty odpowiadania na tyle pytań! Wynoś mi się natychmiast!

Antoni rzucił się na odźwiernego i schwycił go za gardło.

— Jesteś nędznem narzędziem twego nędznego pana, — krzyknął z wściekłością. — Uciekaj, póki czas, inaczej zawrzesz bliższą znajomość z mojemi pięściami.

Odźwierny usiłował odepchnąć Antoniego, ale daremnie.

Tyrolczyk stał jak mur.

Po krótkiej, milczącej walce rzucił Antoni odźwiernego na ziemię, i szybko wbiegł na schody, krzycząc głośno:

— Pani hrabino! Jestem tu!

Felicya otworzyła drzwi swego pokoju.

— Pójdź, prędko — prędko — szepnęła.

Antoni, drżący z wzruszenia, wszedł, i zamknął za sobą drzwi na klucz.

— Nareszcie! Nareszcie, hrabianko! — wyjąkał, rzucając się przed nią na kolana.

Felicya podała mu rękę, a w oczach jej błysnęły łzy.

— Wstań, Antoni, — rzekła cicho, — jestem tu otoczona szpiegami — gdyby cię kto widział.....

— Ach, cóż to szkodzi! Ale muszę korzystać z każdej chwili! Powiedz mi hrabianko, czemu ukrywałaś się tak długo — czemu żyjesz z człowiekiem, który jest zbrodniarzem? Cesarzowa tego pojąć nie może!

Felicya patrzała jak nieprzytomna na Tyrolczyka.

— Jak możesz tak mówić o moim mężu! — szepnęła.

— Prawda, to mąż pani! I kochasz go pewnie bardzo, i dla tego żyjesz z nim w ukryciu.....

Młoda kobieta spuściła głowę i milczała.

— Hrabianko! — zawołał Antoni wstając, — zaklinam cię na Boga, zapomnij raz o tem, że ja tylko sługą jestem! Raz jedyny uważaj mnie za przyjaciela! Jeżeli kochasz twego męża, w takim razie nie powiem już ani słowa i odejdę ztąd natychmiast, ale jeżeli go nie kochasz, jeżeli on cię tylko przemocą trzyma u siebie wtenczas — przysięgam — wydrę cię z tego więzienia i na rękach wyniosę cię z jego domu. Będziesz wolną, hrabianko, będziesz wolną!

— Jego nie kocham! — zawołała Felicya, wybuchając głośnym płaczem, — nie kocham go, i nigdy nie kochałam. Pogardzam nim, i żyję tu, jak w więzieniu!

— Dzięki Bogu! — krzyknął Antoni uszczęśliwiony. — A teraz muszę ci to jeszcze powiedzieć, że nie wiesz pewnie, jakie wiadomości przyszły do Wiednia w dzień twego ślubu o Ramirze del Olivarez!

— Nie! Nic nie wiem!

— Po waszej ucieczce, której powodu nikt nie znał....

— Jakto — nie znał? Przecież wypędzono mnie haniebnie przecież podejrzywano mnie o podstępstwo.....

— Kto panią wypędził? — zawołał Antoni niezmiernie zdziwiony.

— Ty o niczem nie wiesz?

— Nie! Więc kto panią wypędził?

— Cesarzowa!

— Ależ to nieprawda! To kłamstwo!

— Nie! Czytałam sama, własnemi oczami, list gończy, który cesarzowa kazała za mną wysłać. Nigdzie odtąd nie mam spokoju — tułam się po świecie.....

— Ale o liście gończym mowy nie było i nie ma! Ah! teraz domyślam się wszystkiego! Ramiro skłamał i oszukał panią! Przysięgam ci, że cesarzowa żadnego listu gończego wysyłać nie kazała!

— Ramiro pokazał mi jednak gazetę, w której list ten był wydrukowany!

— Wszystko to było sfałszowanem, taka gazeta wcale nie istnieje na świecie! Dlaczego by zresztą miała cesarzowa ścigać panią i prześladować?

— Jestem niewinną Antoni, ale cesarzowa podejrzywa mnie o popełnienie czynu podłego i karygodnego. Chodzi to o ową kradzież brylantów — pamiętasz? Ty sam Antoni zostałeś wówczas ciężko rannym. Wiesz, że brylanty te zabrałam ze sobą do Hernnals, aby je ukryć — brylanty prawdziwe zastąpiono fałszywemi, i ja nie wiem, jakim się to stało sposobem! Ale cesarzowa myśli.....

— Cesarzowa nic złego o pani nie myśli, — odrzekł Antoni, — tylko ucieczka pani z Ramirem wzbudziła pewne podejrzenie. Nie za panią wysłano list gończy — tylko za nim! Bo pani wcale nie wiesz, kto on jest, jakie okropne wyjaśnienia nadesłano do policyi wiedeńskiej.....

— Więc kto jest — mój mąż?

— Ramiro del Olivarez jest zbrodniarzem brazylijskim, którego już w Brazylii skazano na śmierć, ale który niestety zdołał ujść z więzienia! Później umiał zdobyć sobie miejsce sekretarza u ambasadora brazylijskiego we Wiedniu, Ramira del Olivarez.....

— Jakto, jeden i drugi ma to samo nazwisko? Więc czyjąż ja żoną jestem? — zawołała Felicya przerażona.

— Zaraz to pani wyjaśnię. Prawdziwe nazwisko męża twego jest Pedro de Branco. Będąc sekretarzem Olivareza, usiłował go zamordować, i będąc do niego rzeczywiście bardzo podobnym, zabrał papiery, pieniądze, i uchodził w Wiedniu za swego pana! Ale istotny ambasador od-

zyskał po kilku miesiącach zdrowie i wytoczył proces mordercy i złodziejowi. I ten człowiek jest mężem pani!

Felicya rzuciła się na krzesło i wyciągła ręce, jak gdyby chciała odsunąć od siebie okropne jakieś widmo.

— Czy to podobno! — jękła po chwili z rozpaczą, — czy to podobno, aby tyle niegodziwości mieściło się w sercu jednego człowieka! To potwór prawdziwy! I ja jestem żoną jego!

Potem zakryła twarz rękami i głośno płakać zaczęła.

Płakała biedna swego życia zniszczonego, swej młodości, swego szczęścia!



Felicya zakryła twarz rękami i głośno płakać zaczęła.

Antoni zbliżył się do niej.

— Nie płacz pani, — rzekł łagodnie, jak do dziecka, — nie płacz, on nie wart twoich łez! Będziesz jeszcze szczęśliwą — przyszłość lepszą się okaże, a wszyscy ci, których kochasz, otoczą cię miłością i szacunkiem. Bylebyś tylko jak najprędzej opuścić mogła ten dom jego!

— Gdzie szukać schronienia! — zawołała Felicya, — gdzie mam się ukryć z moją hańbą? Ach, jestem związana przysięgą z zbrodniarzem.....

— Przysięga ta nic nie znaczy! Wymógł on ją na pani kłamstwem i oszustwem — składałaś przysięgę człowiekowi uczciwemu, a nie mordercy!

— A jednak nikt nie zapomni mej przeszłości! Palcami będą ludzie wskazywać na mnie! Każdy mnie nazwie żoną mordercy, złodzieja, oszusta — powiedzą, że lata całe żyłam z nim..... O, Antoni, wskaż mi jaki kącik na świecie, gdzie mnie nikt nie zna! Będę się starała pielęgnowaniem chorych i biednych oczyścić się z grzechu! Wskaż mi taki kącik!

— O to nie trudno! Tam w górach, w mojej ojczyźnie — na szczycie skał — leży samotny domek, zwany Pustelnią! Mieszka w nim dwoje ludzi — poważnych i małomównych — bo życie okrutnie się z nimi obeszło..... Ale serca ich szlachetne i przyjmą cię oni chętnie, gdy cię do nich zaprowadzę! Tam jest cisza i spokój — tam uzdrowi się twoja dusza! Chcesz tam iść, hrabianko?

Felicya ujęła rękę Tyrolczyka i uścisnęła ją serdecznie.

— Dziękuję ci Antoni, — rzekła. — Przyjmuję z wdzięcznością twoją propozycyą i proszę, zaprowadź mnie jak najprędzej do pustelni.

— Przedewszystkiem musimy jak najspieszniej uciekać ztąd. Jesteś pani gotową? On nas tu zastać nie powinien, a obawiam się, że wróci wkrótce. Późno już i ciemno!

Antoni umyślnie nie wymówił imienia Ramira, a pomimo to zadrżała Felicya i zimny pot wystąpił jej na czoło.

— Kilka minut tylko, — zawołała, — ale obawiam się, że nas ztąd nie wypuszczą!

— O, nie obawiaj się pani! Odźwierny poznał już raz moje pięści i pewnie nie będzie ich chciał doświadczać po raz drugi na swych plecach!

Felicya otworzyła szafy i komody, zabrała na prędce trochę bielizny, kilka sukien i klejnoty, które miała oddawna, po rodzicach i włożyła wszystko do obszernej torby podróżnej. Z podarunków Ramira nie wzięła najmniejszej nawet drobnostki.

— Jestem gotowa, — rzekła po chwili, — idźmy!

Antoni odebrał jej torbę i otworzył drzwi.

— Dokąd pójdziemy? — zapytała nagle. — Do hotelu byłoby niebezpiecznie, bo tam znalazłby mnie najprędzej. Uczyni on wszystko, co będzie mógł, aby mnie znowu dostać w swoje ręce!

— Chociażby poruszył niebo i ziemię, — roześmiał się Antoni, — to pani do niego nie wróci. Wolałbym go poprzednio zabić! Co zaś do chwilowego mieszkania pani — hm — cesarzową muszę najpierw przygotować — ale co pani myślisz o matce naszej małej Mignon? Powiadała mi ona, że matka jej mieszka na jakiemś przedmieściu. Może by przyjęła cię dziś na noc, tam Pedro szukać nie będzie, pomimo całej swej przebiegłości!

Z bijącem sercem schodziła Felicya na dół, ale odźwiernego nie było w sieni. Może zawięzywał sobie ranę w głowie, którą odniósł w walce z Antonim, może widząc zbliżającego się Tyrolczyka, uciekł, dosyć, że Felicya i Antoni wyszli bez żadnej przeszkody na ulicę.

— Teraz jesteś pani bezpieczna, — rzekł Tyrolczyk, — bo chociażby i przyszedł, to kazałbym go natychmiast uwięzić. Jestem przekonany, że policya francuzka poluje także na niego!

— Tylko nie to! — zawołała Felicya. — Gdyby mu wytoczono proces, musiałabym stawać na sądzie jako świadek..... O, nie myśl, że się lituję nad nim, wiem, że żadna kara nie byłaby dosyć surową za jego winy, ale ja nie chciałabym przyznać się publicznie do tego, że jestem jego żoną i powiedzieć, ile przez te kilka lat wycierpiałam! Za nic w świecie!

— W takim razie nie uczynię tego. Ale idźmy prędzej, tam na rogu ulicy oczekują nas dwie osoby, które się szczerze losem twym zajmują!

Idąc teraz prędko opowiedział Antoni Felicyi jakim sposobem ją odszukał, i ile przytem zawdzięcza Fanchon i małej kwiaciarce!

I zaraz potem ukazały się obie młode dziewczęta i ucieszyły się serdecznie na widok ocalonej.

— Czy Luigi wrócił do pałacu? — zapytał Antoni kwiaciarki.

— Przed chwilą dopiero wyszedł ze mną z cukierni — odrzekła Mignon wesoło. — Kupił mi mnóstwo ciastek i karmelków, ledwie wszystko mogę w koszyk zmieścić!

— Uciekajmy, — szepnął Antoni, — bo wydaje mi się to podejrzanem, że odźwierny nie był w sieni. Są to wierni słudzy swego pana, narzędzia w rękach jego! Słuchaj Mignon, nie zaprowadziłabyś tej pani do twojej matki? Możeby ją przyjęła na tę jednę noc tylko!

— Ach, matka bardzo się ucieszy! Opowiadałam jej tyle o pięknej i dobrej hrabinie! Ale u nas bardzo biednie — my ledwie mamy kawałek chleba.....

— Ja też niczego nie żądam, — przerwała Felicya, — chcę tylko u was noc przepędzić. Jutro wystara mi się Antoni o inne mieszkanie!

— Więc pójdź pani ze mną, ale daleka to droga! My mieszkamy na przedmieściu Batignolles, a to przynajmniej dwie godziny ztąd!

— Weźmiemy dorożkę, — rzekł Antoni. — Właśnie tam jedna nadjeżdża. Odwiozę panią i przekonam się, czy jesteś tam zupełnie bezpieczną!

Z przeciwległej ulicy zbliżała się teraz rzeczywiście zamknięta dorożka, a dorożkarz, ujrzawszy stojące osoby popędził konia, domyślając się, że czekają na niego.

Wysoki kołnierz zakrywał twarz tego człowieka, odsłaniając tylko oczy, które z wyrazem zdumienia i przerażenia patrzały na wsiadających.

— Na jakiej ulicy mieszkasz? — zapytał Antoni kwiaciarki.

— Mozambique, 77, — zawołała Mignon rozpromieniona.

Po raz pierwszy w życiu miała jechać, i to dorożką obok prawdziwej hrabiny! O takiem szczęściu nie marzyła nigdy, ale dzień dzisiejszy pełen był najpiękniejszych niespodzianek!

— Słyszeliście? — rzekł Antoni do dorożkarza.

Jedźcie prędko! Macie tu pieniądze, gdy staniemy na miejscu dostaniecie jeszcze osobne wynagrodzenie!

Doróżkarz wsunął pieniądze do kieszeni, nacisnął kapelusz na czoło i koń ruszył.

Ale po chwili stanął, i doróżkarz zeskoczył z kozła.

— Cóż to? — spytał Antoni.

Zamiast odpowiedzieć, otworzył doróżkarz drzwiczki i zatrzasnął je, powtarzając to samo z drugiej strony, potem zajął znów miejsce na koźle i powóz szybko potoczył się dalej. —



Wysoki kołnierz zakrywał twarz doróżkarza.

— Drzwiczki widocznie źle były zamknięte, — rzekł Antoni.

— Ach, czemu on, zamiast wpatrywać się w twarz Felicyi, nie spojrzał lepiej na ręce doróżkarza! Byłby może spostrzegł, że zatrzaskując drzwiczki, odkręcił szybko klamki i schował je do kieszeni!

Nadmienić przytem wypada, że doróżki paryzkiej z wnętrza otworzyć nie można, to też siedzący w niej byli raz tak, jak w więzieniu.

Powóz pędził jak szalony, ale nie do Batignolles, tylko do — Passy.

ROZDZIAŁ LXIII.

Rozalia.

Tego samego wieczora, gdy Fanchon biegła z Antonim na wyswobodzenie Felicyi, wszedł Ryszard Corrigan do składu Rozalii, ustawiającej szkła i pudełka na półkach.

Młody inżynier przywitał serdecznie siostrę narzeczonej, ujął jej małą, białą rękę i pocałował kilka razy.

Nieszczęśliwa dziewczyna zadrżała.

Ach, Ryszard nie przeczuwał, co się działo w jej sercu, nie wiedział, jak gorąco kocha go ta biedna ułomna, o głowie anioła, a postaci potwora!

Skądżeby się miał domyślać tej miłości?

Lubił on bardzo Rozalią, ale uważał ją za istotę, która nigdy nie może mieć pretensyi do serca mężczyzny, więc też ani mu przez myśl nie przeszło, aby ta nieszczęśliwa kaleka, sama kogoś pokochać mogła! Uważał ją za siostrę, za przyjaciółkę, powiernicę, i znając jej rozum i bystrość, prosił o niejedną radę, mianowicie co do przyszłości!

A Rozalia byłaby z rozkoszą ostatnią kroplę krwi oddała, gdyby Ryszard raz ją tylko do serca przycisnął, gdyby raz tylko powiedział, że ją kocha.....

Biedna dziewczyna piekielne znosiła męczarnie — ten tylko je zrozumie, kto sam kochał bez wzajemności!

Ryszard zdawał się być dziś bardzo niespokojny.

— Gdzie Fanchon? — zawołał, oglądając się po sklepie. — Przecież dziś nie występuje w teatrze!

Pytania te, zdradzające miłość i czułą troskliwość, przeszywały jak nożem, serce Rozalii.

— Fanchon wyszła, — odrzekła cicho, — i będziesz się musiał zadowolić dziś mojem towarzystwem. Nie zastąpię ci wprawdzie narzeczonej.....

— Ach o to nie chodzi! Ty wiesz, jak lubię z tobą rozmawiać, Rozalko, ale dziś. — — Otóż wyczytałem właśnie w gazetach, że ojciec mój przybył do Paryża. Zamieszkał w Grand Hotel. Przyszedłem więc po Fanchon — zamierzam iść z nią do ojca i przedstawić mu moją narzeczoną. Ta niepewność raz się skończyć musi.

— Ale co powie twój ojciec?

— Obawiam się, że nie od razu przystanie na mój wybór. Zdania nasze nie zawsze zgadzają się z sobą — ale przy tym najważniejszym kroku mego życia nie chciałbym się zrzec jego błogosławieństwa! Mam nadzieję, że piękność i wdzięk Fanchony ułagodzą go trochę, w każdym razie muszę spróbować. Sposobność jest wyborna. Gdzież więc jest Fanchon obecnie, kiedy wróci?

Rozalia opowiedziała mu o zamiarach Antoniego i o gotowości, z jaką Fanchon ofiarowała swe usługi w celu wybawienia Felicyi z rąk zbrodniarza.

— To podobne do niej, — zawołał Ryszard, — nie mogła też inaczej postąpić, ale byłbym wolał zastać ją w domu. Nie wiesz, kiedy wróci?

— Nie wiem, myślę jednak, że wkrótce, bo ojciec jada z nami kolacyą o dziewiątej i musimy być obiedwie przy nim, jeżeli Fanchon nie występuje!

— W takim razie przyjdę później — ale bądź co bądź dziś jeszcze do ojca iść musimy. Na tak ważną rzecz nie ma ani zbyt wczesnej, ani zbyt późnej godziny. Za godzinę będę tu znowu!

I Ryszard już zamierzał wyjść z sklepu, gdy nagle stało się coś niespodziewanego. Ułomna Rozalia wybiegła z za stołu i z głośnym płaczem rzuciła mu się w objęcia.

— Ryszardzie, — zawołała, ukrywając twarz na jego ramieniu, — nie odchódź, nie odchódź! Ja kocham ciebie! Więcej niż świat cały, niż życie! Ach, pocałuj mnie chociaż raz tylko, nie odpychaj mnie! Zlituj się nademną! Czemu patrzysz na mnie z takiem zdumieniem? Czy myślisz, że rozum straciłam? Może być! Ja nie wiem co mówię!

Ryszard odsunął ją lekko i ująwszy jej ręce, rzekł do niej łagodnie i serdecznie, jak do dziecka:

— Jesteś chorą, Rozalko, masz gorączkę! Wiem, że mnie kochasz, ale to miłość siostry dla brata. Gdy Fanchon zostanie moją żoną, przeniesiesz się do nas, urządzimy ci ładny, słoneczny pokoik i nie będziesz potrzebowała męczyć się w tym ciemnym składzie. Zgadzasz się na to?

Rozalia cofnęła się żywo.

— Ja — miałabym mieszkać z wami? — krzyknęła. — Nigdy! Czy myślisz, że mogłabym patrzeć spokojnie na wasze szczęście? Ach, znosiłam dosyć już długo moje ciężkie życie, teraz nie chcę dłużej cierpieć! Nie szemrałam dotąd na przeznaczenie, ale cierpliwość wszelka skończyć się raz musi. Odejdź Ryszardzie, — dodała ciszej, — i proszę cię, zapomnij o tem, co mówiłam!

— Możesz być pewną, że już zapomniałem, — rzekł Ryszard poważnie. — Do widzenia, kochana siostro!

Po jego odejściu upadła Rozalia na kolana, a gwałtowne łkanie wstrząsło całą jej postać.

— Skończyło się, — mówiła sobie w duszy, — skończyło się wszystko! Zdradziłam się! Żyć dalej nie mogę! Jakżebym śmiała spojrzeć w oczy Fanchony — jestem podła, niegodziwa i muszę odpokutować za moją winę. Życie moje i tak nie ma celu!

I zerwawszy się nagle, zaczęła szybko uprzątać sklepik. Poustawiała słojki, puszki, pudełka, potem wyjęła z szuflady wszystkie pieniądze, przeliczyła je i położyła je na biurko ojca, a w końcu zabrała się do napisania następującego listu:

„Kochany ojcze! Droga siostro!

Żegnam was! Uwalniam was od ciężaru, jakim wam przez tyle lat byłam! Czemu umieram dobrowolnie? Bo wstydzę się mej potwornej postaci, i nie chcę żyć dłużej bez szczęścia, do którego mogłabym też ostatecznie mieć pretensyą! O, cierpiałam więcej, niż to sobie wyobrazić możecie! Nie szukajcie mego ciała, byłoby to daremne — umrę tam, gdzie mnie nikt nie znajdzie! Zapomnijcie o mnie! Módlcie się za moją duszę i wybaczcie waszej biednej nieszczęśliwej —

Rozalii."

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dodatek Humorystyczny.

Życzenia noworoczne.

Czego tobie po zwyczaju
Życzyć dzisiaj biedny kraju?
Przedewszystkiem wiary w siebie,
W własne siły, w pomoc własną,
Tak potrzebną, gdy twe dawne
Opiekuńcze gwiazdy gasną.

Chociaż bardzo źle się wiedzie,
Nie daj wziąć przewagi biedzie
I pamiętaj, że nie warto
Folgę dawać swej rozpaczy,
By cię jeszcze nie zelżono
Szpetną nazwą: „kraj żebraczy“.

Dobądź raczej siły męzkiej
W tych dniach bólu, w tych dni [illegible] klęski,
Nie poddawaj się zbytecznie
Niemoralnej grze hakaty;
Szał i wściekłość nas nie zjedzą,
Nie zjedzą nas nawet katy.

Porzuć także złud utopie,
Z których każda grób ci kopie;
Porzuć nastrój donkiszocki
Romansowo-idyliczny;
Zbawić ciebie dzisiaj może
Tylko rozum polityczny!

Te życzenia po zwyczaju
Niosę tobie, biedny kraju,
Niosę z wiarą, że czas stłumi
Wszystkie wrogie elementy,
Gdy jak Tytan wytrwasz w bólu,
Wielki, dumny, nieugięty!

Humorysta „Pracy“.

Sielanka kucharska.

Pafnucy i Brygida.

Pafnucy. Brygido! odpasz fartuch powieś na kołku, pójdź tu do mnie usiądź na drewnianym stołku; — w wieczór jest czas zabawy dla nas, a w dzień cały musim gościom przyprawiać różne specyjały. — Brygido! na twój widok któż się nie rozczuli... Ach! jak ty jesteś piękna w tej czarnej koszuli! Twe policzki, jak gdyby gotowane raki, Twoje ręce przechodzą ćwikłowe buraki!

Brygida. O! Pafnucy! któż może zrównać twej osobie? — i najotylszy żarłok niepodobny tobie. — Kiedy idziesz objedzon rożnem mięsem kruchem. Jakże pięknie wyglądasz z tym ogromnym brzuchem!

Pafnucy. Nad mój brzuch ja przekładam twe maleńkie oczy, i twój włos, co się w strąki po ramionach toczy.

Brygida. Mniejsza wszystko, chętniebym dała dwa dukaty, za twe wąsy sążniste, za twój nos garbaty.

Pafnucy. Gdy ty śpiewasz, sucharek wprzód zjadłszy spalony, głos twój wtenczas brzmi wdzięcznie, jak garnek stłuczony. I w mych uszach draźnienie sprawujesz w tej dobie, takie właśnie, jak gdy kto po szkle nożem skrobie.

Brygida. Ty zaś luby, gdy nucisz wesoły, ochoczy, natenczas ledwie ze mnie dusza nie wyskoczy; i swym głosem po sercu (wyznaję ci szczerze), tak mnie głaszczesz przyjemnie, jak tarką po serze.

Pafnucy. Jak ty Brygido zręcznie umiesz dawać psztyczki, i jak smagłe kuchcikom wyliczasz policzki.

Brygida. A tyś drogi Pafnucy, czyliż zapomniałeś, ile im to szturchańców w plecy nadawałeś?....

Pafnucy. Prawda, że nas obojga jednakie zalety: takeśmy smaczni, pulchni, jakby dwa pulpety, tak podobni, jak gdyby dwa harbuzy właśnie. Ale czas nam się rozejść, bo już ogień gaśnie. Idź luba i pod strychem spocznij na barłogu, a ja się tu na słomie położę przy progu.

Brygida. Bądź zdrów rądelku drogi, nakryj łeb szlafmycą.

Pafnucy. Bądź zdrowa warząchewko! moja ciemiężyco!...



W restauracyi.

Gość: No... jakże z zdrowiem, kelnerze, czy lepiej na nogi?

Kelner: Dziękuję, lepiej; ale za to mi gorzej na oczy, nie mogę np. zobaczyć tych pieniędzy od pana, co mi się od dwóch miesięcy należą.

Jakoś to będzie!

Nowy rok począł już rządy
Na ubiegłego ruinie;
Zastał tu szczęścia nie wiele
Smutki i troski jedynie.

Potężnym bije strumieniem
Wciąż wyżej biadań kaskada;
Kto tylko żyje narzeka,
Bo wciąż hakata ujada.

Nadzieje prysły bez śladu;
Zamęt, apatja i bieda
Różowych blasków rozniecić,
Ciepła rozszerzyć im nie da.

I wstają czarni prorocy
I wznoszą chmurne systemy,
Twierdząc, że będzie wciąż gorzej,
Aż w owej nędzy zginiemy.

Lecz czy to wielka zasługa
Zatapiać nawę zachwianą;
Upadłym bębnić nad uchem.
Że nigdy więcej nie wstaną?

W zamęcie dzisiejszej chwili
Złej sprawy są to szermierze
Ci, co nam mówią, że losy
Zawarły z piekłem przymierze.

Niech zniknie smętność ta dziwna,
Twór nowożytnej Nirwany:
Niech wierzy w przyszłość szczęśliwszą
Nawet upadły, złamany.

Przeto wbrew czarnym prorokom,
Miejmy i nadal na względzie
Prastarą ufność sarmacką,
Że przecie jakoś to będzie.

Humorysta „Pracy“.

Na ulicy.

— Coś ty taki blady?... Skąd wracasz?...

— Od dentysty.

— Wyjął ci ząb?

— E, nie, tylko 10 marek z kieszeni.



Na targu.

— Niech pan rzeźnik nie targuje.... to jest wieprzok gatunkowy.

— A z jakiej on rasy pochodzi?

— Nie pochodzi on z żadnej rasy, tylko z chlewa.

Na mrozie,

Pan w futrze.

— Dzień dobry! Jakże możesz ubierać się tak lekko?... chyba, że masz sposób na ciepło?

Pan w paltocie.

— Mam niezawodny!

— Jakiż?

— Zawsze marznę.

Piękne za nadobne.

Profesor:

— Widzieliśmy zatem, że rozmiary czaszki u mężczyzny są większe, niż u kobiety. Co możemy z tego wnosić?

Uczennica:

— Że czaszka męska zawiera więcej pustej przestrzeni od kobiecej.

W salonie.

— Jaki kolor włosów najlepiej pan lubi?

— Naturalny.

Stałe hasło.

Na każdego przychodzi godzina wspomnień, więc też pan Jan z panem Jackiem przypominają sobie dawne czasy.

— Ach — wzdycha pan Jan — dobre to były czasy, gdy miało się za hasło: „Wino, kobieta i śpiew.“

— Hm — rzecze pan Jacek — przyznam ci się, że ja dotychczas trzymam się tego hasła.

— Czyż tak?

— A tak... Idę do winiarni na *wino*, gdy moja *żona* zabiera się do *śpiewu*.

Misya poufna.

Gapski otrzymał kiedyś misyę poufną zaproszenia kogoś na stanowisko, wymagające wielu danych osobistych. Idzie tedy i wykonywa misyę jak umie najlepiej.

— Ależ, panie — pyta owa osoba, mająca wiele danych osobistych — dlaczego pan namawia koniecznie mnie do objęcia tego urzędu? Przecież jest w mieście tylu ludzi zdolniejszych, bystrzejszych, więcej zasłużonych...

— Ba! — woła Gapski z głębi serca — przyznam się panu otwarcie, że wszędzie już byłem!...

Pierwsza litera.

— Co pani ma za oryginalną broszkę!

— A, to jest „C“, pierwsza litera mego imienia.

— A jak pani na imię?

— Helena...

W sądzie.

— Ach, ty gałganie! — mówi sędzia: — już cię tu chyba dwudziesty raz widzę!

— A cóżem ja winien, że pan sędzia nie awansuje?

Ułagodzenie.

— Jak pan śmiesz nazywać mnie osłem?

— No, no, niechże pan też nie ceni każdego mego słowa na wagę złota!

Zdania o małżeństwie.

Małżeństwo — śpiewają poeci — to poemat Bajrona, dopełniony przypisami... Rozbickiego.

Małżeństwo — wzdychają pensyonarki — to turniura, kilku paziów, teatr, koncerta, zabawy i niezależność.

Małżeństwo — dumają koncypienci — to regularny obiad, światło, opał i pranie.

Małżeństwo — powiadają artyści — to duet na rozstrojonych instrumentach, ciągła próba opery źle napisanej i jeszcze gorzej rozdanej.

Małżeństwo — marzą lwy — to rozszerzenie kredytu, szampan, niewinny maczek, pełen zacności djabełek, to życie w pełnym rozwoju.

Małżeństwo — wzdychają starzy kawalerowie — to rumianek w właściwej porze podany, kataplazm na reumatyzm, ciepłe ubranie i ochrona od kataru.

Małżeństwo — powiadają kupcy — to przeniesienie handlu na główny punkt miasta, to olbrzymie szklane tafle w oknach, to ogłoszenie w dziennikach: powróciwszy z Paryża przywiozłem najnowsze itd...

Małżeństwo — powiada ironiczny lekarz — to niedomykalność zastawki dwukończystej.

Małżeństwo — twierdzi matematyk — to udowodnienie zasady, że dwie liczby pomnożone przez siebie wydają trzecią.

Małżeństwo — twierdzi polityk — to kwestya wschodnia.

Małżeństwo — duma szlachcic galicyjski — to tytuł hrabiego, gra na giełdzie i artykuł w „Czasie“: „i znów dwie szlachetne latorośle starożytnych domów Gapiałłów Pędratyckich i Fujarów Pępczyńskich połączyły się z sobą ku zadowoleniu Pana nad Pany, ku szczęściu królestwa Golicyi i Głodomoryi.“

Małżeństwo — powiadają ludzie praktyczni, prawi synowie XX w. — to taki dobry interes, jak każdy inny, to spółka firmowa dla podniesienia dochodów, to przedsiębiorstwo tak dobre, jak wydzierżawienie dochodów propinacyjnych, skład z cygarami lub fabryka wódek słodkich.

Jeden skutek.

— Mam, niestety, już tylko samych dalekich krewnych.

— Czy bliżcy wymarli?

— Nie, ale się zbogacili.

W sądzie.

Sędzia: — Jak to? nie masz nawet książek handlowych?

Bankrut, któremu ogłoszono upadłość: — Poco mi książki, panie sędzio? To tylko próżne łamanie sobie głowy, kiedy się nie zgadzają...

W tak zwanem „dobrem“ towarzystwie są ludzie, którzy i pod względem umysłowym żyją „nad stan“

Dowcip jest wojownikiem, humor — samarytaninem.

Przygotowania.

No, jestem ubezpieczony na życie i od wypadku, żonę posłałem do rodziców, testament spisałem, mogę więc już spokojnie pojechać za miasto samochodem.

Na wsi.



— Jaką wy macie nędzną krowę; ileż ona daje mleka?

— 10 kwart.

— A sprzedajecie z tego?

— 30 kwart.

Okoliczność łagodząca.

— ...Wysoki sądzie, błagam o pobłażliwość! Niech wysoki sąd zechce zastanowić się nad tem, ile przykrości oszczędzam mu przez to, że nie byłem aresztowany niewinnie!...

Przyjaźń między kobietami to — zawieszenie broni.

